

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 7 (25)

Jerozolima, 1 kwietnia 1944 r.

Rok II

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

P O R O K U

Lata wojny liczą się podwójnie, a lata polityki wojennej chyba wielokrotnie więcej. Jeżeli z perspektywy rocznego istnienia dwutygodnika „W Drodze” spojrzymy na dopiero co przebyty okres, to stwierdzenie to nabiera szczególnej wyrazistości. Razem z innymi narodami, które w zwycięstwie widzą jedynie możliwości zrealizowania postulatów demokracji i rządów prawa, zbliżyliśmy się o ten rok do końca wojny, chociaż realizacja tych postulatów nie zbliżyła się w tym samym stopniu do celu. Wielkie klęski, ponoszone przez Niemcy, odpadnięcie Włoch z szeregów Osi, choć może nie z szeregów faszyzmu, zwycięstwa na Pacyfiku — to postępy militarne ostatniego roku. Niestety, nie zawsze ten sam postęp cechował myśl polityczną. Zaznaczyła się tutaj duża rozbieżność; czyśność i jedność planów została zamącona. Należy to podkreślić tym mocniej, że wykonanie planów wojskowych toruje co prawda drogę do realizacji ideałów, w których imieniu wojnę podjęto, ale wcale nie jest jednoznaczne z realizacją tych ideałów.

Sprawy polskie przeszły w tym okresie przez dramatyczny zwrot z momentem zerwania stosunków ze Związkiem Sowieckim. Zdarzenie to nie wywołało bezpośrednich skutków w układzie stosunków między innymi państwami, spoistość obozu Zjednoczonych Narodów nie została rozbита, niemniej jednak bezowocność prób — mimo bardzo pojednawczego stanowiska Rządu Polskiego — naprawienia stosunków polsko-sowieckich świadczy o trudnościach, które mogą być kluczem do wielu zagadek politycznych chwili obecnej. Wiele z problemów europejskich można nazwać szyfrem „sprawa polska”. Sprzęgły się z nią najżywniejsze zagadnienia przyszłości naszego kontynentu. Wiele niepowodzeń, na które dzisiaj myśl o przyszłej organizacji świata napotyka, wynika z niechęci podchodzenia do wszystkich spornych zagadnień polityki w obecnym układzie sił. Elementy konstruktywne pragną pozostawienia ich w pokoju do momentu, gdy stanie się możliwa rzeczowa dyskusja oraz gdy można będzie rozpatrywać je na podstawie prawa i z perspektywy rzeczywistego wkładu w wojnę. Każdego musi uderzyć, jak rzadko mówi się dziś o podstawowych założeniach programowych w rodzaju Karty Atlantycznej, i to nawet w odniesieniu do państw, które od pierwszej chwili znajdują się w linii ognia. Znakomity prawnik angielski, oxfordzki profesor Brierly, stwierdza to z pewnym przerażeniem. Z sytuacji, jaką wytworzyły nieporozumienia co do politycznych celów wojny, nie widzi on innego wyjścia, jak właśnie powrót do tych podstawowych postanowień. W obecnej chwili zrozumienie tego zaczyna w świecie odzywać właśnie przy sposobności omawiania spraw polskich. Opinia publiczna zaczyna szukać sprawdzianu i kryteriów dla trudnych decyzji, które rozstrzygną o obliczu politycznym świata na najbliższe dziesięciolecie. Chociaż w dalszym ciągu przy omawianiu naszych problemów rzadko słyszy się nazwę Karty Atlantycznej, nazwa, która wywoływała najsłabsze skojarzenia w historii, to jednak w tej chwili sumienie świata zostało obudzone i coraz mocniej przychodzi do głosu przekonanie, że problem, któremu na imię Polska, jest sprawdzianem wartości idei sprawiedliwości, najtrudniejszej może do zrealizowania. Podniosły się już alarmujące głosy na drugiej półkuli, która nie może zrozumieć polityki przemocy w stosunku do narodu, ponoszącego największe ofiary na rzecz wspólnej sprawy.

Próbę równie dramatyczną przeżywa nasz Naród i Kraj. Postawiony między terrorem a wrogą propagandą, nigdy jeszcze nie złożył tylu dowodów zrozumienia zasadniczych wytycznych naszej polityki, polityki, prowadzonej przez prawowity Rząd. Nie ma on wątpliwości co do zasadniczej zgody na program współpracy z wielkimi demokracjami Zachodu, na które spogląda z nadzieją i wiarą. Wszystkie wartości duszy narodowej, wszy-

stkie środki materialne zostały rzucone do walki z najeźdźcą o przywrócenie poszanowania prawa i sprawiedliwości. Dwukrotnie w ciągu ostatniego roku administracja niemiecka starała się koncesjami uzyskać bodaj zawieszenie broni. Skończyło się to niepowodzeniem; niemieckiej maszynie wojennej zadano nowe ciosy. Nikt nie ma wątpliwości co do tego, po czyjej stronie są życzenia i poparcie Polaków. Nie ma ani jednego nazwiska Polaka, który mógłby wymienić Berlin jako dostateczny autorytet dla poparcia współpracy z najeźdźcą. Nie ma ani cienia współpracy. Zaskakująco temu sami Niemcy. W artykułach ich prasy jest narzekanie na polski upór, na morze nienawiści do Niemców, które uderza każdego, kto się znajdzie na polskim terytorium.

Świętość naszej sprawy, identyczność założeń polskiej polityki wewnętrznej i międzynarodowej z podstawowymi hasłami, pod jakimi poszliśmy wraz z naszymi aliantami na wojnę, stanowisko Kraju, stojącego murem

za legalnym Rządem, jednolitość społeczeństwa emigracyjnego — oto atuty, popierające nasze postulaty.

Obok armii krajowej, lotnictwa, marynarki, walczących bez przerwy, także i oddziały armii lądowej znowu znalazły się ostatnio na linii ognia. Walczą one tym razem w Europie, wkroczywszy na stary szlak pradziadów, którzy pierwsi walkę o państwo i byt narodu ponieśli zagranicę. Nie miejsce tu na dyskusję znaczenia tego faktu z punktu widzenia ściśle wojskowego, z punktu widzenia doniosłości udziału polskich oddziałów w walkach we Włoszech dla odbudowy sił zbrojnych Kraju, gdy sławne egzotycznymi nazwami pół bitew pułki i bataliony osiadły w polskich garnizonach, by znowu rozpocząć pracę nad obronnością państwa i Europy. Trzeba jednak koniecznie podkreślić tę okoliczność, że oto w momencie gdy najświętsze prawa nasze zostały zakwestionowane, żołnierz polski bez wahania, bez cienia wątpliwości co do znaczenia udziału Polaków

w tym ostatnim stadium wojny w Europie, podjął znowu walkę.

Słowo Polaków jest rzeczą nie podlegającą dyskusji, to też wypełnimy do końca nasze zobowiązania. Walczymy o wolność dla wszystkich, nie tylko dla naszej własnej ziemi. Rozumiemy bowiem, że wolność jest niepodzielna i że dzisiaj niewolnictwo i wolność nie mogą istnieć obok siebie. Wiemy bardzo dobrze, że czyni decydującą o istnieniu narodów. Nie można dostatecznie podkreślać znaczenia, jakie wiadomość o walkach II Korpusu Polskiego wywrze na postawie Kraju. Oddziały polskie we Włoszech to jeszcze jeden dokument czynnego współdziałania z naszymi Sprzymierzeńcami, to żywe „nie”, rzucone wszelkim insynuacjom, podsuwającym możliwości zmiany zasadniczej postawy, której na imię Kutno, Westerplatte, Warszawa, Narvik, Bitwa nad Anglią, Tobruk, Gazala. To jeszcze jeden rozkaz, skierowany do Polaków w Kraju, głoszący, że wolność już blisko.

Zjawienie się oddziałów polskich na linii ognia w tym właśnie politycznym i militarnym momencie posiada szczególną wymowę dla całego świata, który stoi wobec zasadniczego dylematu, gdzie szukać podstaw dla przyszłej organizacji świata. Bo żołnierze II Korpusu we Włoszech to żołnierze idei niezawisłości narodów, zabezpieczenia niepodległego bytu państw i narodów, żołnierze honorowego i uczciwego urzędowania przyszłego świata dla dobra cywilizacji i ludzkości. Siła wojska narodowego to nie tylko ilość dział w pułkach artylerii, czy samolotów w powietrzu, ale także suma sił moralnych, które dyktują podjęcie walki i oporu. Tych sił żołnierzowi polskiemu nie zabraknie i one stanowią wkład w wojnę nie mniej cenny niż ilość dostarczonych czołgów.

Wysiłki na polach bitew zbliżają nas coraz bardziej do chwili, gdy sprawy Europy i świata staną się przedmiotem szczegółowej dyskusji. Świat zbliża się do tego momentu z treścią większą od tej, jaka poprzedzała wybuch wojny, i kto wie, czy niepewność, jak ostatecznie sprawy będą wyglądały, nie jest tym czynnikiem, który utrudnia szybkie zakończenie wojny. Już dzisiaj widać pewne, jakkolwiek ograniczone jeszcze w doniosłości, skutki tego faktu. Można, zdaje się, z całą stanowczością stwierdzić, że stojmy wobec niebezpieczeństwa utraty tych atutów, które wynikły stąd, że Hitler przemocą zmusił wielką część Europy do współdziałania. Na szczęście, zaciemnienie obrazu zasad ideologicznych, wypisanych na sztandarze obozu Narodów Zjednoczonych, zdaje się być tylko przejściowe, i o ile kierownicy głównych państw nie pójdą na izolowanie poszczególnych spraw z ogółu problemów Europy, musimy wrócić do założeń pierwotnych. Działania o charakterze ściśle wojskowym przestaną odgrywać w polityce zasadniczą rolę i będą musiały wtedy przyjąć do głosu inne siły, o charakterze gospodarczym i konstruktywnym. Już sama ilość problemów będzie wymagała dla ich rozstrzygnięcia ustalenia zasad ogólnych. Dzisiaj nie wypłynęło jeszcze zagadnienie odpowiedzialności za urządzenie tej czy innej części Europy. W zrealizowaniu tej odpowiedzialności tylko ci będą mogli liczyć na pomoc świata, którzy podojadą do tego zagadnienia w myśl założeń, zrozumiałych dla innych narodów. Lekceważenie motywów moralnych, które w r. 1939 były hasłem rozpoczęcia walki z hitleryzmem, może być trudne jutro, gdy potrzeba będzie pomocy świata już nie na to, aby się bić, ale na to, aby poprostu przewetować najtrudniejszy okres. Wówczas może nie będzie zlekceważone ostrzeżenie, które przyniosło jedno z pism angielskich: „dla obywateli i obywateli — żołnierzy tego kraju... prawdziwymi celami wojny są w dalszym ciągu zabezpieczenie świata dla demokracji i zapewnienie wszystkim wolności od strachu i biedy. W tym wyraża się duch purytanizmu, który nigdy nie stawiał na siłę, panującą ponad zasadami, i — miejmy nadzieję — nigdy tego nie zrobi”.

W numerze:

B. Łączkowski: Tragedii akt piąty. — wh: Nowy periodyk francuski. — M. Górecki: Chleba powszedniego! — ds: Sir Richard Acland i „Common Wealth” — W. Szymański: Problemy bałkańskie. Rumunia. — A. Janta: Modlitwa wiernych. — A. Adler: Propaganda niemiecka na Bliskim Wschodzie. — Egga van Haardt. — H. Giedziński: Podróż do kraju kakao. — W. Broniewski: Skorpion. Awanturna z muzyką. Wiersz przeciwjesienny. Wycieczka malarska. — S. Baliński: Śpiewnik popularny. — Tel-Aviv oczyma Topolskiego. — zb: „Maria Curie”. — Z. Broneel: Głos ekranu. — Fakty i komentarze: Ameryka, ropa i Europa. Mali naśladowcy wielkich wezyrów. ZSRR i Japonia. H. van Loon. — P. Apenszlak: Francja, kochanka niewierna. — Z prasy obcej: Problem demokracji. — ww: Przegląd polityczny.



Projektował Zygmunt Kowalewski

W najbliższym świątecznym numerze „W Drodze”

m. in.

Benedetto Croce:

Jerzy Larren - Lenczowski:

Wacław Radulski:

Wiersze Zdzisława Broncia i Aleksandra Janty.

Wojna jako ideał.

Listy z Persji. Demokracja w kołyszce,

Teatr roku dwutysięcznego,

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

TRAGEDII AKT PIĄTY*)

„Romantycy w codziennym życiu dają sobie radę ze swymi marzeniami dzięki temu, że w istocie posiadają ostry zmysł rzeczywistości.

Wykolejencami natomiast są ci, którzy biorą dosłownie swe urojenia. Anglicy są romantyczni, ale inne narody uważają ich za hipokrytów. To nieprawda: z całą szczerą wiarą wybierają się na szukanie Królestwa Niebieskiego, ale podróż jest uciążliwa, to też nie dziwnego, że jeśli po drodze trafią im się w ręce jakieś wartościowe inwestycje, nie mają zamiaru nimi gardzić.

Dusza brytyjska, jak armia Wellingtona, maszeruje na brzuchu”.

W. Somerset-Maugham: „1st Pers. Sing.”

Atak ósmej armii brytyjskiej pod El-Alamein, lądowanie Sprzymierzonych w Afryce Północnej rozpoczęło piąty akt tragedii wojennej: okres zwycięstw Sprzymierzonych. Inicjatywą wojenną przechodzi całkowicie w ich ręce. Etap za etapem rozpoczyna się marsz poprzez kraje Afryki.

Zarazem mnożą się komplikacje polityczne. Pierwsze ich oznaki wystąpiły z całą wyrazistością już w chwili lądowania w Afryce Francuskiej, w chwili gdy dowództwo amerykańskie zdecydowało się na zawarcie układu z reprezentantami rządu Vichy, przebijającymi na tych terenach. Układ ten znany jest pod nazwą układu Clark-Darlan.

Po raz pierwszy w czasie tej wojny zagadnienie, jak ma wyglądać świat powojenny, wysuwa się ponad sprawy, wynikające z koniunktury wojennej i nakazów strategii wojskowej.

Sprawa Darlana stawia na ostrzu noża problem quislingizmu. Jak postąpić z quislingami? Czy uznawać quislingów nawróconych? Kto jest, a kto nie jest quislingiem? Dowództwo Sprzymierzonych w Afryce Północnej rozumieje kategoriami wojskowymi: trzeba się starać wygrać kampanię jak najprędzej, jak najmniejszym nakładem sił. Każdy układ, który może zmniejszyć opór, który może doprowadzić do przeciągnięcia na stronę Sprzymierzonych części sił wrogich, czy obojętnych — jest dobry. Najpierwszym zadaniem jest wygrać kampanię, później wygrać wojnę — i dopiero mówić o polityce. Temu sposobowi rozumowania przeciwnicy wiażą się koła Francji Walczącej. Wysłunęte zostają motywy natury politycznej i moralnej: chodzi nie tylko o to, by wygrać wojnę, lecz sprawą ważną jest, jak ta wojna zostanie wygrana. Wojna nosi charakter ideologiczny. Nie można umniejszać wagi zwycięstwa przez przekreślenie wartości moralnych. Winni zdrady muszą być ukarani.

Kule rewolwerowe, które zabijały admirała Darlana, przecięły najostrejszą fazę sporu. Rozpoczyna się natomiast rodzaj walki politycznej. Oswobodzona z rąk wrogich Afryka Północna uważana jest za rodzaj przedpola politycznego Europy.

Ścierają się dwa poglądy. Jeden wychodzi z założenia, że wojna obecna musi doprowadzić w Europie do wstrząsów rewolucyjnych. Drugi pragnie zachować w miarę możliwości strukturę wewnętrzną polityczną państw europejskich. Obydwa poglądy ścierają się przede wszystkim na tle spraw francuskich.

Zwolennikami drugiego kierunku są przede wszystkim Amerykanie. Dostępnym eksperymentom w Europie! Dostępnym tego stałego wrzenia, które po tej strasznej wojnie może doprowadzić Europę do zupełnego chaosu. Europa powinna się podźwignąć możliwie szybko z kataklizmów, które ostatnio przeszła. Europa powinna stworzyć chłonny rynek, powinna kupować produkty amerykańskie. „New Deal” nie doprowadził do zniknięcia najstraszniejszych plag życia gospodarczego i społecznego Stanów: bezrobocia. Gdy rytm produkcji wojennej osłabnie, gdy nastąpi powrót do normalnej gospodarki, miliony rąk roboczych znajdą się nagle bez pracy. Ciężki przemysł wojenny zamieniony być musi na przemysł inwestycyjny, który oprócz zatrudnienia wewnątrz kraju, przy wielkich robotach publicznych, będzie musiał szukać rynków zbytu zagranicą. Europa stanowić będzie jeden z tych prawdopodobnych rynków zbytu. W Europie nie powinno dojść do wstrząsów, które mogłyby zakłócić procesy odbudowy.

Polityka amerykańska rani kompleksy francuskie. Popierany przez Amerykanów generał Giraud trafia na coraz większe trudności. Zwolennicy generała de Gaulle wygrywają dzięki aktywności oraz dzięki umiejętności trafenienia do nastrojów mas.

Konferencja w Casablance odbywa się w atmosferze wzmożonego prestiżu państw anglosaskich. Decyzja o przyjęciu jedynie „bezwartunkowej kapitulacji” wrogów robi wrażenie siły i pewności.

Z Europy sygnalizują upadek ducha mniejszych państw, współpracujących z Niemcami. Klęska szóstej armii niemieckiej pod Stalingradem jest pierwszym znakiem wyczerpywania się siły zbrojnej Trzeciej Rzeszy. Jeszcze się mówi o możliwości nowej ofensywy niemieckiej na wiosnę 1943 r., jeszcze się oczekuje jakichś „cudów” ze strony hitlerowskich generałów, ale widać już olbrzymie zmęcze-

nie Niemiec. Po czwartej zimie wojny Hitler nie obiecuje już „Blitzkriegu”, nie podaje daty zwycięstwa. Niemiecka propaganda sięga do przykładów historycznych. Wspomina melancholijnie, jak to Fryderyk II w czasie Wojny Siedmioletniej widział się już bliski klęski ostatecznej po dwóch latach nieudanych kampanii, lecz oto ocalony został przez zręczną politykę, która doprowadziła do pokłócenia wrogów. Koalicja przeciwpruska rozpadła się i Fryderyk wojnę wygrał.

Pokłócenie Sprzymierzonych staje się dążeniem polityki wojennej Niemiec. Korzystając z trudności w stosunkach polsko-rosyjskich, wyciągają na światło dzienne sprawy oficerów polskich, pomordowanych w lesie katyńskim. Udać im się osiągnąć przez to podwójne korzyści: rząd sowiecki zrywa stosunki dyplomatyczne z rządem polskim, co stanowi pierwszą poważną rysę w strukturze koalicji antyniemieckiej, zaś wewnątrz „fortecy europejskiej” utrzymywany stale przez Niemców straszak bolszewizmu zyskuje na plastyczności, staje się bardziej przekonujący.

Do przeszłości należy ten okres wojny, gdy jedna mała wyspa brytyjska walczyła z nawalnicą niemiecką w imię wolności świata, gdy Sprzymierzeni naprawdę walczyli, a nie byli sprzymierzonymi. Zwycięstwo wojenne jest już pewne. Ale obraz przyszłego świata powojennego zaciemnia się.

Upadek Pantellarii, szybkie postępy wojsk Sprzymierzonych na Sycylii były już widomym znakiem, że w państwie faszystowskim Mussoliniego dzieje się niedobrze. Narady anglo-amerykańskie w Ottawie miały na celu ustalenie kalendarza działań wojennych. W Stanach Zjednoczonych narasta niezadowolnienie z powodu koncentracji uwagi sztabu amerykańskiego na Europie. Opinia publiczna domaga się wzmocnienia tempa akcji przeciwko Japonii. Istnieją wątpliwości co do stopnia udziału Imperium Brytyjskiego w wojnie na Dalekim Wschodzie w chwili, gdy wojna w Europie zostanie zakończona. Premier Churchill składa publicznie wiążące oświadczenia. Równocześnie wykorzystuje swój pobyt w Ameryce dla przypomnienia społeczeństwu ojczyzny Monroe’ego, że po wojnie nie może być mowy o powrocie do izolacjonizmu. Stany Zjednoczone muszą wziąć czynny udział w kształtowaniu kontynentu europejskiego!

Oświadczenie to przychodzi w samą porę. Pod wpływem bowiem niepowodzeń polityki amerykańskiej w Afryce Północnej oraz w wyniku trudności dogadania się z Rosją Sowiecką przez Stany idzie jedna z powrotnych fal dążeń izolacjonistycznych! Teoria stref wpływów jest głównym krytykowaną. Szereg projektów urządzenia świata powojennego załamuje się w ogniu krytyki. Nie przychodzi nic, coby mogło stać się drogowskazem.

Szczególnie trudnym do rozwiązania staje się problem małych i średnich państw Europy. Projekty federacyjne, które zdołały już znaleźć obywatelstwo w poglądach opinii publicznej Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, spotykają się z gwałtownym sprzeciwem Rosji Sowieckiej, która wytacza poodejście, że głównym celem tych projektów jest otoczenie jej rodzajem „cordon sanitaire”. Politycy anglo-amerykańscy wycofują się stopniowo z popierania tych projektów.

Tragiczna śmierć generała Sikorskiego, jednego z głównych promotorów idei federacyjnej, przychodzi w chwili dla idei tej najtrudniejszej, gdy sloganem politycznym dnia staje się projekt Dyktatoratu Czterech Mocarstw — rodzaju Świętego Przymierza, którego zadaniem miałoby być utrzymanie świata w spokoju, drogą ustalenia stref wpływów wielkich imperiów.

Po długiej przerwie w lipcu 1943 r. roz-

poczynają się walki na froncie wschodnim. Niemcy rozpoczynają manewr ofensywny pod Orłem, jak twierdzą, dla przeciwdziałania przygotowywującej się ofensywie rosyjskiej. Rosjanie mówią o nieudanej ofensywie niemieckiej, przygrywcę do projektowanej jakoby wielkiej ofensywy.

We Włoszech wybucha kryzys, który odwraca uwagę od walk pod Orłem. Niemcy wiedzą, że koniec Mussoliniego i ustroju faszystowskiego oznacza szybkie wyjście Włoch z wojny. Jest to olbrzymia różnica w układzie sił. Włochy miały pod bronią sześćdziesiąt do siedemdziesięciu dywizji. Dobrych czy złych — ale zawsze są dywizje. Ubytek ich Niemcy będą musiały zastąpić własnymi oddziałami. Przynajmniej trzydzieści do czterdziestu dywizji trzeba będzie rzucić do Włoch i na Bałkany. Powstaje przez to różnica stu do stu dziesięciu dywizji — to jest akurat mniej więcej połowa tego, co Niemcy i ich satelici wystali na olbrzymi front wschodni.

Sprzymierzeni, lądując we Włoszech Południowych, stworzyli bezpośredni stan zagrożenia niemieckiej „fortecy europejskiej” od południa. Dowództwo niemieckie przerzuca do Włoch i na Bałkany całe swe rezerwy strategiczne. Więcej: zmuszone jest do wysłania szeregu oddziałów z Europy Zachodniej, a nawet doraźnie niektórych formacji z frontu wschodniego.

Niemcom udaje się wypełnić powstałą lukę. Gdy rząd Badoglio kapitułuje — Niemcy już nie tylko są w stanie opanować sytuację we Włoszech i na Bałkanach, lecz nawet po pewnym czasie udaje im się odebrać z rąk Sprzymierzonych zajęte w pierwszym okresie po upadku Włoch wyspy greckie.

Natomiast Niemcy nie mogą już myśleć o jakichś działaniach ofensywnych w Rosji. Wobec braku rezerw i ogromu przestrzeni, zajętych na Wschodzie, niebezpieczeństwo jest oczywiste. Rozpoczyna się odwrót armii niemieckiej z nad Wołgi i z Kaukazu. Równocześnie propaganda niemiecka też musi wykonać swój odwrót. Nikt już nie wierzy w niezwykłość zastępów Hitlera. Mówienie o zwycięstwie grozi ośmieszeniem. Trzeba mówić, że klęska nie jest konieczna. Równocześnie jednak trzeba straszyć własne społeczeństwo, a inne narody Europy, jaki to straszny los czekać je będzie, gdyby Niemcy miały przegrać wojnę. W ten sposób uda się może zwiększyć wysiłek wojenny, zachęcić do obrony!

Niemieckim komunikatom wojennym nie towarzyszą już dźwięki fanfar zwycięskich. Przeciwnie. Kwatera Główna Hitlera śpieszy się niejednokrotnie tak bardzo z ogłoszeniem ewakuacji przez wojska niemieckie tej czy innej miejscowości w Rosji czy na Ukrainie, jakby chciała wyprzedzić tryumfalne bicie dziań na Kremlu i udowodnić światu, że wszystko dzieje się zgodnie z planem.

Aż do dojścia przez wojska sowieckie do linii Dniepru, nie ma większych bardziej krwawych bitew. Na prawobrzeżnej Ukrainie arriergardy niemieckie stawiają już zacieklejszy opór. Późną jesienią v. Mannstein próbuje nawet przeciwnatarcia między Zytomierzem a Kijowem.

Tymczasem przez całą drugą połowę roku 1943 trwają bezustanne masowe bombardowania lotnicze Niemiec. Dzień i noc setki samolotów Sprzymierzonych operują nad Niemcami. Maszyna wojenna Niemiec kruszeje i rozpada się. Komunikacje stają się coraz trudniejsze. Próba jednej jeszcze ofensywy niemieckiej: na morzach przez masowe działania łodzi podwodnych — zawodzi całkowicie. Ośrodki produkcji łodzi podwodnych zostają zmasakrowane przez lotnictwo anglo-amerykańskie. Równocześnie nowe metody walki z korsarstwem na morzach przyczyniają tak wielkie straty niemieckiej flocie pod-

wodnej, iż musi ona zaniechać projektów szerszej akcji.

Od końca r. 1943 Trzecia Rzesza Hitlera już tylko się broni...

Wojna w Europie zbliża się ku końcowi. Ale jak będzie wyglądał pokój? Osiągnięcia polityczne roku 1943 pozostają wyraźnie w tyle poza osiągnięciami wojskowymi. Trudności między Sprzymierzonymi stają się coraz wyraźniejsze. Jest oczywiste, że na finiszu wojennym zle manewrowanie polityczne może popsuć owoce zwycięstwa.

Październikowa konferencja trzech ministrów spraw zagranicznych w Moskwie miała być przygotowaniem do wielkiej próby generalnej uregulowania spraw świata powojennego. Ustalono spis problemów. Znalazły się nawet teckie państw neutralnych, jak np. Turcji, która niejednokrotnie ściągająca na siebie cierpkie niezadowolnienie kół politycznych sowieckich.

Zadecydowano ukaranie winnych zbrodni wojennych. W Charkowie rozpoczyna się pierwszy pokazowy proces. Zadecydowano również odbudowę Austrii. Wkrótce potem prezydent Benes podpisuje pakt współpracy wojennej i powojennej z Rosją Sowiecką. Wydaje się, że film historii zaczyna się obracać wstecz. Ze sprawiedliwość dziejowa wynagradza kolejno krzywdy. Najpierw Abisynia wolna. Potem decyzyja trzech mocarstw odbudowy Austrii, dalej zapewnienia świetlanej przyszłości dla Czechosłowacji. Film urywa się jednak w miejscu, w którym byłaby kolej na Polskę...

Konferencja w Kairze i w Teheranie miały być największym wydarzeniem politycznym tej wojny. Czy były? Jeśli chodzi o pógę, reprezentowaną przez jej uczestników, na pewno tak. A jeśli chodzi o jej rezultaty?...

Postanowione już w Moskwie utworzenie Komisji Środkomorskiej i Europejskiej miało stworzyć stałe organy porozumienia między mocarstwami i mniejszymi sojusznikami. W Teheranie miały być ustalone zreby przyszłego porządku świata. Wydaje się, że rezultaty konferencji nie odpowiadały oczekiwaniom. Rozwiązano problem Iranu. Odstąpiono przytem od zasady stref wpływów, a zastąpiono ją wspólną gwarancją mocarstw — czymś w rodzaju kondominium — dla zapewnienia swobodnego rozwoju tego, tak bogatego w naftę kraju.

Już po konferencji moskiewskiej nastąpiło wyraźne zbliżenie sowiecko-amerykańskie. Amerykanie przyjęli szczególnie dobrze niektóre oświadczenia sowieckie w sprawach mandżurskich i koreańskich. Przyjęcie przez Związek Sowiecki statutu Iranu uważane było przez koła amerykańskie pogląd, że państwa kontynentu europejskiego powinno być rozbrojone, spotkawszy się z podobnymi teoriami sowieckimi, przyobiekł się w Teheranie w formę jakichś decyzji? Czy osiągnięte przez Amerykanów ustępstwa sowieckie w sprawach daleko-wschodnich, przez Anglików i Amerykanów — w Iranie, przez Anglików wreszcie — w stosunku do Turcji, okupione zostały ustępkami państw anglosaskich w sprawach Europy Środkowej? Czy mowa marszałka Smutsa, wypowiedziana w tym właśnie czasie, jest ostrzeżeniem, że Dominia nie pragną się zbyt angażować w sprawy kontynentu europejskiego? Czy koniec roli politycznej Europy?

W ustalonym kalendarzu działań wojennych zaznaczyło się również porozumienie amerykańsko-rosyjskie. Powzięto decyzję przyspieszenia przebiegu wojny w Europie. Czy zadecydowano też, jak ma Europa po wojnie wyglądać? Czy tak chętnie widziany przez niektóre koła amerykańskie pogląd, że państwa kontynentu europejskiego powinno być rozbrojone, spotkawszy się z podobnymi teoriami sowieckimi, przyobiekł się w Teheranie w formę jakichś decyzji? Czy osiągnięte przez Amerykanów ustępstwa sowieckie w sprawach daleko-wschodnich, przez Anglików i Amerykanów — w Iranie, przez Anglików wreszcie — w stosunku do Turcji, okupione zostały ustępkami państw anglosaskich w sprawach Europy Środkowej? Czy mowa marszałka Smutsa, wypowiedziana w tym właśnie czasie, jest ostrzeżeniem, że Dominia nie pragną się zbyt angażować w sprawy kontynentu europejskiego? Czy koniec roli politycznej Europy?

Wypadki toczą się szybko. Coraz wyraźniej wydają się przelewać ponad głowami rządzących. Rok bieżący może być rokiem końca wojny w Europie. Oswobodzona Europa wleje swą treść do nurtu spraw światowych.

Odeszliśmy daleko od okresu opisywania naiwnego, nowego, wspaniałego świata, który powstanie po wojnie. Liczne instytucje, stworzone dla planowania pokoju, chromają, nie mając oparcia w sprawach najważniejszych.

Po ziemiach polskich idą wojska. Dzień każdy przynosi nam nowe wiadomości o walkach o polskie miasta i wsie. Naród Polski przeżywa znów swoje ciężkie dni, podobny do chóru w tragediach greckich — bezsilny świadek zbrodni.

Czy jest możliwość pomyślnego rozwiązania sprawy polsko-rosyjskiej? Przy obopólnej dobrej woli napewno. Ale — przy obopólnej dobrej woli. Dobra wola jednej ze stron nie wystarcza. Określając najszerzej sposób rozwiązania tych spraw, dojdziemy do stwierdzenia, że chodzi o stworzenie takiego stanu rzeczy, przez który naród polski nie czuży się pokrzywdzony. W czasie wojny tej zdobyliśmy szereg praw moralnych. Praw tych nikt nam odebrać nie zdoła.

Wydajemy się dzisiaj wykolejencami, bo zbyt dosłownie chcemy brać nasze urojenia. Ale my wiemy, że są urojenia, które są treścią życia narodu. Może to w ogóle romantyzm jest być Polakiem. Ale tacy jesteśmy i tacy będziemy.

wh.

NOWY PERIODYK FRANCUSKI

La Revue Economique et Sociale, nr. 1.
(bez daty!), Alger—Paris.

Pierwszy numer nowego miesięcznika francuskiego, poświęconego sprawom gospodarczym i społecznym, świadczy o odradzeniu się myśli ekonomicznej w Walczącym Imperium Francuskim. Do chwili objęcia Francuskiej Afryki Północnej ruch polityczny Francji Walczącej mało interesował się zagadnieniami gospodarczymi. Tłumaczy się to warunkami, w jakich ruch ten powstał i działał — terytoria, będące jego podstawą, były gospodarczo tak niesamodzielne, że jedynym rozwiązaniem było włączenie ich do brytyjskiego systemu gospodarki wojennej, tak że cały ciężar decyzji gospodarczych spadał na czynniki brytyjskie. Sytuacja zmieniła się z chwilą administracyjnego i gospodarczego włączenia wielkich i bogatych terytoriów afrykańskich.

Cele, które sobie stawia redakcja pisma, są ambitne — pismo chce skupić wokół siebie wszystkie kierunki myśli ekonomicznej i chce przez utrzymywanie stałego kontaktu z osiągnięciami narodów anglosaskich pobudzić francuskie koła fachowe do postępu w teorii i polityce gospodarczej. Pierwszy numer miesięcznika w części tylko spełnia tak postawione zadanie.

Oto jego treść. Ważnością zagadnień ekonomicznych w życiu państwa zajmuje się Jean Paul Raudnitz, stawiając tezę, że materialny dobrobyt nie był nigdy dostatecznie doceniany przez rządzących Trzecią Republiką. Dążności, które symbolizuje w historii Francji Richelieu, górowały

tam stale nad tymi, których reprezentantem był Colbert. Autor odrzuca stanowczo tezę: politické d'abord, pokreślając konieczność uwzględnienia w pierwszej linii materialnych podstaw bytu społeczeństwa i państwa. Znany ekonomista Georges H. Bousquet rozważa z pewną melancholią zmierzch liberalnego kierunku polityki ekonomicznej, oceniając pesymistycznie sprawność nadechodzącego systemu planowego i jego wpływ na system polityczny społeczeństwa. Przy całej niechęci do gospodarki planowej przebiega u autora fatalistyczna wiara w jej nieuchronność. Ostatni artykuł Marcela Kocha o gospodarce chłodniczej w Francuskiej Afryce Północnej ma w dużej mierze charakter techniczny i problematy, tam rozważane, mogą tylko pośrednio wpływać na niektóre działy produkcji i zaopatrzenia pewnych rynków. Numer zamknięty wyścigi z prasy amerykańskiej. Dziwnie się tu może wydawać, że przytacza się głosy wielkich dzienników, skierowanych do szerokiej publiczności, a nie organy opinii fachowej.

Na zakończenie warto wspomnieć o tych pozycjach, których czytelnik nie znajduje w pierwszym numerze pisma, a których oczekuje w wydawnictwie tego rodzaju. Brak jest zupełnie działu informacji gospodarczych, i to tak o życiu gospodarczym wolnych terytoriów francuskich, jak i Francji pod okupacją. Tocząca się wojna i związana z nią pomyślność wielu danych statystycznych w części tylko tłumaczy ten brak.

*) Artykuł ten pojęty jest jako dalszy ciąg artykułu „Ta dziwna wojna”, drukowanego w nrze 11 „W Drodze” z dn. 1 września ub. r.

WITOLD SZYMAŃSKI

PROBLEMY BAŁKAŃSKIE*)

RUMUNIA

Podczas gdy były król rumuński, Karol, przebywa na luksusowym wygnaniu w Meksyku, wojska rosyjskie weszły już do Besarabii i szybko zbliżają się do Karpat. Losy Rumunii się ważą.

Karol wskutek swego niemoralnego życia zmuszony został do opuszczenia kraju i zrzeczenia się wszelkich praw do tronu jeszcze dla życia ojca swego, króla Ferdynanda, w r. 1925. Wróciwszy po pięcioletnim wygnaniu, niezwłocznie rozpoczął usilną działalność w celu zwiększenia swej władzy, przez co wszedł w konflikt z najliczniejszym stronnictwem politycznym rumuńskim — partią ludową. Stronnictwo ludowe domagało się przeprowadzenia drugiej części reformy rolnej z r. 1920, żądało mianowicie pomocy państwa dla chłopów, którzy, otrzymawszy ziemię, nie wiele z niej mieli pożytku z powodu chronicznego braku kapitału dla najbardziej niezbędnych inwestycji. Poza tym liderzy partii, z Maniu na czele, protestowali przeciw zwiększającemu się wpływowi na sprawy państwowe kochanki króla, Magdy Lupescu, i pozostałych członków kamarylli dworskiej. Karol, stosując dobrze znaną na Bałkanach metodę spreparowanych wyborów i umiejętnie wykorzystując rywalizację pomiędzy Maniu a Vaida-Voievodem, doprowadził do tego, że w ciągu dziesięciu lat jego rządów ludowcy zostali zupełnie odsunięci od władzy, z wyjątkiem krótkiego okresu w latach 1932-33.

Walka między królem a stronnictwem chłopskim straciła bardzo na sile po r. 1934, gdy w postaci t. zw. Żelaznej Gwardii pojawił się ruch, zagrażający zarówno królowi, jak i obu partiom politycznym, liberalnej i chłopskiej. Żelazna Gwardia zrodziła się, jak twierdzili jej adepci, pewnej nocy, gdy św. Michał Archanioł objawił się ubogiemu studentowi prawa, Corneliu Zelea — Codreanu, i nakazał mu utworzenie ruchu politycznego na podobieństwo nazizmu w Niemczech w celu wyratowania Rumunii z odcieczeni i upadku moralnego, w jakim była pogrążona. Pomimo tak mistycznego pochodzenia, a może i dzięki niemu wpływ Codreanu i jego doktryny szybko wzrastał i po dojściu do władzy Hitlera żelazno-gwardziści stali się poważnym czynnikiem w życiu politycznym kraju. Ideologia ruchu składała się z dziwnej mieszanki purytanizmu prawosławnego, wąskiego szowinizmu, anarchizmu i antysemityzmu, wszystko obficie podlane mistycyzmem. Powodzenie Żelaznej Gwardii przypisać należy przede wszystkim politycznej i finansowej pomocy Niemiec, trzeba jednak przyznać, że Codreanu umiał porwać za sobą dużą część chłopstwa i niektóre koła młodzieży miejskiej. Wiadomo, że młodzież lubi, gdy się ją zachęca do poświęceń i do twardego życia, gdy się gani stare porządki i nawołuje do „przebudowy od podstaw”. Wzorowe obozy pracy, organizowane przez Codreanu dla członków organizacji, jego ogniste kazania o konieczności powrotu do moralności chrześcijańskiej musiały wywoływać duży ogłos w kraju tak notorycznie nieuprzedzonym, jak Rumunia, słynąca z łatwości obyczajów i korupcji politycznej. Ruch Żelaznej Gwardii miał jednak i mniej przyjemne strony, a więc uważał terror jako normalny środek walki politycznej, gardził demokracją, zaś w swym programie polityki zagranicznej otwarcie stawiał po stronie Niemiec i Włoch. Wszystko to sprawiło, że większość społeczeństwa rumuńskiego, będącego pod wpływem kultury francuskiej, z czasem odwróciła się od Codreanu. Ogromny wzrost wpływów Żelaznej Gwardii odzwierciedlił się w wyborach z 1937 roku, gdy 500.000 głosów padło na jej listę. Król Karol przestraszył się nie na żarty i postanowił skompromitować faszystów przez powołanie do władzy Ligi Chrześcijańskiej Oktaviana Gogi — małej grupki skrajnie reakcyjnych żydofobów. Goga wywiał się ze swego zadania ku pełnemu zadowoleniu króla, wydał bowiem taką ilość antyżydowskich ustaw, że w bardzo krótkim czasie doprowadził kraj do całkowitej prawie dezorganizacji gospodarczej. Niepowodzenie gabinetu Gogi wzmocniło stanowisko króla i pozwoliło mu na skorzystanie z ogólnego niezadowolenia z rządów prawicy i rozpoczęcia ostatecznej walki z Codreanu i jego faszystami i w wprowadzenie ustroju czysto dyktatorskiego. Parlament rozwiązano, zawieszono konstytucję i rozpędzono wszystkie partie polityczne. Codreanu został aresztowany i skazany na 10 lat ciężkich robót za zdradę stanu. Niedługo potem, w końcu listopada 1938 r., Codreanu i 13-tu jego towarzyszy zastrzelono, rzekomo podczas próby ucieczki z więzienia. Legioniści zemścili się parę miesięcy później, zabijając premiera, Armandu Calinescu.

W krytycznym roku 1939 była więc Rumunia całkowicie pod władzą króla-dyktatora. Zamiast rozwiązanych partii politycznych stworzono t. zw. Front Odrodzenia Narodowego, do którego musieli należeć wszyscy bez wyjątku urzędnicy państwowi. Młodzież zdyscyplinowano za pomocą organizacji, zwanej „Straż Kraju”, również przymusowej. Położenie międzynarodowe Rumunii było osłabione wskutek rozpadnięcia się Małej Ententy po zajęciu Czechosłowacji przez Niemcy. Anglia i Francja zagwarantowały wprawdzie nie-

podległość Rumunii na początku 1939 r., lecz presja Niemiec już się dawała wyraźnie odczuwać i król Karol zawarł z nimi wysoce dla nich korzystną umowę handlową.

Zarówno zmiany wewnętrzne, jak i wyraźne przybliżanie się wojny europejskiej, nie wielki tylko wpływ wywarły na życie samego kraju. Również i wojna polsko-niemiecka nie zdołała wyprowadzić z równowagi Rumunów. Po krótkim okresie paniki wszystko wróciło do normy. Król budował dalej swój pretensjonalny pałac, który koniecznie miał być większy od pałacu Buckingham, wszystkie bez wyjątku restauracje, kawiarnie, najgorsze nawet cygańskie zespoły robiły dobre interesy, stolica Rumunii bowiem a nawet i pomniejsze miasta pełne były turystów niemieckich, uchodźców polskich, a także i wszelkiego rodzaju aferzystów i szpiegów, należących do wszystkich możliwych narodowości świata. Zwłaszcza Bukareszt, wesoły i gwarny, żył w tym okresie dróje de guerre w jakimś nieustającym pędzie zabaw, balów, koncertów i wystaw, wyjazdów do zamiej-skich restauracji i do Snagova.

Wino było dobre i — jak prawie wszystko w tym kraju — bardzo tanie, jedzenie wszędzie doskonałe. Gdy się patrzyło na mieszkających w mieście, bawiących się w wypielni-nych po brzegi lokalach nocnych, lub na rzekę ludzką leniwie płynącą przez Calea Victoriei w ciągu całego dnia, miało się wrażenie, że ludzie ci nigdy nie pracują i do niczego się nigdy nie spieszą. Nastroj kar-nawałowy wzrastał się coraz bardziej i na wiosnę 1940 r. doszedł do szczytu. Jedynymi chyba ludźmi, którzy w tych miesiącach przed rozpoczęciem działań wojennych na zachodzie zdawali sobie sprawę z tego, że jest wojna, byli Polacy. Rumuni, aczkolwiek nigdy nas nie zapewniali o wiecznej przyjaźni, przy-jęli nas lepiej niż nasi bratankowie od szabli i od szklanki, serdecznie i bez ukrytego lekce-ważenia. To że byli łasi na łapówki i że od czasu do czasu kogoś oszukali, wprowadzało wprawdzie pewien dysonans, ale przecież za dużo nie można wymagać. Zresztą, Polacy też dawali niemało powodów do dysonansów.

Nastroj zmienił się dopiero pod wpływem wieści o błyskawicznych sukcesach Niemiec na zachodzie. Upadek Francji był dla Rumunów strasznym ciosem. Pomimo ciągłych niepowodzeń armii francuskiej ludzono się do ostatniej chwili, że Niemcy zostaną zatrzy-mani i gdy przyszła wiadomość o zawieszeniu broni, nie chcieli wierzyć i zapewniano, że to jest trick propagandy niemieckiej. Rumunia nagle została zupełnie odosobniona, zdana na łaskę swych potężnych sąsiadów. Zanim przeszło wrażenie klęski francuskiej, już spadło pierwsze nieszczeście! Dnia 26 czerwca zostało doręczone ultimatum rządu sowieckiego, domagające się odstąpienia Besarabii. Rosja Sowiecka nigdy formalnie nie uznała przyłączenia Besarabii do Rumunii i teraz żądała nie tylko swej dawnej prowincji, ale również i północnej Bukowiny, gdzie żyje powyżej trzystu tysięcy Ukraińców. Karol, upewniwszy się, że Niemcy nie mają najmniejszego zamiaru pomagać mu w konflikcie z Rosją, zgodził się na odstąpienie żadanego terytorium. Rozgoryczenie było powszechne, narzekano na króla, który zaledwie parę miesięcy temu uroczyście oświadczył w Kiszyniowie, że Besarabia będzie broniła do ostatniej kropli krwi. Tymczasem nastąpiła pośpieszna reorientacja rumuńskiej polityki zagranicznej: 1 lipca formalnie odrzucono francusko-brytyjskie

gwarancje, zaś 6 lipca premier Gigurtu stwierdził, że Rumunia współpracuje z mocarstwami Osi. To jednak nie uratowało jej od dalszego podziału na rzecz Węgier i Bułgarii, które, ośmielone przykładem Rosji, niebawem przedstawiły swe żądania. Rumunia została zmuszona, pod naciskiem Niemiec, do odstąpienia Węgrom północnego Siedmiogrodu z około milionem Węgrów, ale i półtora miliona mieszkańców narodowości rumuńskiej. Bułgaria zajęła Dobrudżę, co zresztą nie wywołało wielkich żałów ze strony Rumunów.

Podczas gdy to wszystko się działo, cały kraj zachowywał żałobę narodową, kina i teatry były nieczynne, nigdzie nie było muzyki. Wszędzie panował wielki niepokój i rozgoryczenie przeciw królowi. Wreszcie, na żądanie generała Antonescu, nastąpiła abdykacja króla Karola na rzecz jego syna, Michała. Dnia 10 września król i pani Magda Lupescu odjechali specjalnym pociągami.

W swej rozgrywce z królem Antonescu miał poparcie zarówno Żelaznej Gwardii, jak i wojska. Po śmierci Codreanu wodzem żelazno-gwardzistów został Horia Sima, człowiek nadzwyczaj energiczny, dobry organizator, to też ruch nie tylko nie zamarł, lecz jeszcze bardziej się rozwinął. Sima rozpoczął współpracę z Antonescu nad „ustaleniem porządku w kraju”. Antonescu jako szef państwa zgodził się na poprzednio zawartą przez Karola umowę z Niemcami, na mocy której niemiecki personel sanitarny i techniczny miał być użyty do pomocy Niemcom, ewakuowanym z Besarabii, a „instruktorzy” niemieccy mieli szkolić wojska rumuńskie w nowych sposobach walki. Umowa ta była właściwie początkiem najpierw powolnej i ukrytej, później zupełnie jawnej niemieckiej penetracji wojskowej do Rumunii. Żołnierze i oficerowie niemieccy pojawili się na ulicach Bukaresztu we wrześniu 1940 r. Byli uprzedzającego grzeszni dla ludności, zdawali się wcale nie mieć pojęcia o alkoholu, za to jedli tak, że wywoływali uśmiechy współczucia u dobrodusznych gospodarzy.

Jeżeli chodzi o ustalenie porządku przez Antonescu i Horię Simę, szło im to bardzo opornie, pomimo często wygłaszanych przemówień. Żelazna gwardia chodziła teraz w zielonych koszulach i domagała się posad i honorów, poza tym kradła, co mogła. Jednym z pierwszych pomysłów „zielonych koszul” było zorganizowanie czegoś w rodzaju super-policii i własnej kontroli granicznej. Oprócz tego do bardzo wielu urzędów poprzyjmowano wielu legionistów Żelaznej Gwardii na miejsce zwolnionych Żydów i innych „niepewnych” ludzi. Legioniści, urzędnicy czy policjanci, skwapliwie korzystali z każdej okazji, by niemilosiernie łupić ludność, znosząc do-byczyć do specjalnie na ten cel przeznaczonych składów. Jedną z takich kryjówek skradzionych rzeczy mieściła się w dawnym domu pani Lupescu, który po jej wyjeździe został przez legionistów zamieniony na „muzeum” i otwarty dla publiczności. W tym samym miejscu, trochę później, mieścił się swoistego rodzaju „dom wypoczynku” dla młodych członków partii obojga pci.

Nowy sposób urzędowania, praktykowany z zapałem przez zielone koszule, wywołał powszechne niezadowolenie i straszliwy nieporządek w całym kraju, wskutek czego Antonescu zwolnił z posad kilka tysięcy legionistów, co, oczywiście, nie zwiększyło jego popularności w t. zw. Zielonym Domu.

Zdawało się, że już nic gorszego nie może spotkać okrojonej, zdemoralizowanej i wydanej na łup żelazno-gwardzistów Rumunii. A jednak najgorsze próby miały dopiero przyjść. Zaczęło się to 10-go listopada, w nocy od silnego trzęsienia ziemi, które uszkodziło wielką ilość domów w Bukareszcie i spowodowało śmierć kilku tysięcy osób. Kilka miasteczek prowincjonalnych zostało doszczętnie zburzonych.

Wkrótce potem nieporozumienia pomiędzy Antonescu a Żelazną Gwardią doprowadziły wreszcie do wojny domowej. Po trzech nieudanych zamachach na życie generała legioniści zajęli komendę policji, koszar jednego z pułków, skrzydło gmachu ministerstwa spraw zagranicznych, gmach centrali telefonicznej i parę mniejszych budynków i z tych baz ruszyli na podbój miasta. Dzień 10 stycznia 1941 rozpoczął się ostrą strzelaniną we wszystkich częściach miasta naraz; zaczęły się walki uliczne. Trzecia armia, stacjonowana w Braszowie, pod dowództwem generała Dragaliny, zbuntowała się, przyłączyła do legionistów i rozpoczęła marsz na Bukareszt. Radiostacja w Braszowie również była w rękach buntowników. Walki trwały około tygodnia i nie wiadomo, jak by się skończyły, gdyby nie interwencja Niemców, którzy pomogli generałowi Antonescu. Legioniści byli tak zawzięci, że wojsko musiało użyć tanków i armat, by zniszczyć niektóre gniazda oporu. Podczas rewolucji gwardziści w dziki sposób pastwili się nad bezbronną ludnością żydowską, spalili dzielnicę żydowską, rozbili i obrabowali kilkadziesiąt sklepów i wymordowali około trzech tysięcy Żydów. Te ekscesy w połączeniu z wybrzykami z poprzedniego miesiąca, gdy legioniści zamordowali kilkunastu wybitnych polityków rumuńskich, m. in. prof. Mikołaja Jorgę, zwróciły przeciwko nim zarówno wojsko, jak i całe społeczeństwo rumuńskie. Wszyscy ży-czyli klęski legionistom. Walki zakończyły się pełnym zwycięstwem Antonescu. Kilka tysięcy gwardzistów zostało zabitych, lecz główny inicjator zamachu, Horia Sima, zdołał schronić się do poselstwa wiojskiego, skąd pod opieką niemiecką przedostał się do Berlina. Odtąd był używany przez Niemców do szantażowania Antonescu, który stał się powolnym narzędziem w rękach Hitlera.

Obecnie upływają już bez mała trzy lata, odkąd wojska rumuńskie wyruszyły razem z Niemcami na podbój Rosji. Bilans tych trzech lat przedstawia się nadzwyczaj smutno. Rosjanie są nad Prutem, kraj jest ekonomicznie wyniszczonej, armia rumuńska straciła 500.000 ludzi, czyli 1/3 swych efektywów. Nie też dziwnego, że krąży coraz bardziej uporeczywe pogłoski o propozycjach pokojowych, jakoby wysuwanych przez pewnych polityków rumuńskich. Ostatnią nowością w tej dziedzinie jest tajemnicza podróż księcia Barbu Stirbey do Kairu przez Ankarę, gdzie, jak doniosło radio tureckie, miał on stwierdzić gotowość Rumunii do wycofania się z wojny i zrezygnowania z Besarabii pod warunkiem zwrotu części Siedmiogrodu, zabraną przez Węgry. Nie wiadomo jednak, w czym imieniu robione są te propozycje, albowiem rząd rumuński, jak należało oczekiwać, nie o niczym nie wie. Stary książę jest z pewnością jedną z najbardziej tajemniczych postaci Rumunii współczesnej. Pochodzący z rodu książąt udzielnych Mołdawii, spokrewniony z potężną dynastią Bratianów, niezmiernie bogaty, z powodu swego wpływu na królową Marię był przez prawie 20 lat — aż do powrotu Karola w 1936 r. — szarą eminencją polityki rumuńskiej. To on wraz z Tache Ionescu i Ionelem Bratianu doprowadza do wejścia Rumunii do wojny po stronie Aliantów; długoletnie wygnanie księcia Karola nie doszło do skutku bez jego zgody. Dlatego też nie bardzo można wierzyć rozgłosni bukareszteńskiej, usiłującej w nas wmówić, że książę Stirbey, odbywa podróż prywatną.

Rumunia stoi nie tylko przed klęską wojskową. Grozi jej także zupełne rozprzężenie polityczne, nie widać bowiem, kto mógłby się podjąć stworzenia nowego ośrodka władzy politycznej, gdy nastąpi koniec osobistej dyktatury marszałka Antonescu. Rumuni są monarchistami, lecz dynastia obecna została gruntownie skompromitowana przez wyuzdanie erotyczne, machinacje finansowe i zapędy dyktatorskie króla Karola. Co do obecnego króla to młody ten człowiek jeszcze nieczym nie zdążył się odznaczyć oprócz dość romantycznej przygody z piękną panną Malaxa, córką znanego fabrykanta parowozów i bro-ni. Dwóch ludzi mogłoby kandydować na stanowisko premiera w nowym, demokratycznym ustroju: Juliusz Maniu, przywódca partii chłopskiej, oraz Jerzy Bratianu, przyszły lider partii liberalnej (właściwie konserwatywnej). Bratianu, profesor Uniwersytetu Bukareszteńskiego, jako historyk jest uważany za następcę i kontynuatora znakomitego uczonego, Mikołaja Jorgi, jako polityk zaś jest spadkobiorcą tradycji politycznej rodziny Bratianów, dziedzicznych liderów partii liberalnej. Nie wiadomo jednak, czy i w jakim stopniu te dwie partie będą politycznie czynne po wojnie. Należy przypuszczać, że bierność obydwu tych ugrupowań wobec proniemieckiej polityki marszałka Antonescu nie przysporzy im zwolenników, ani nie zdobędzie zaufania Demokracji Zachodu czy Rosji.

ALEKSANDER JANTA

MODLITWA WIERNYCH*)

Z ostrobramskiego okna i z jasnogórskiej kaplicy patrzyłaś na nasze nie-szczęścia, Królowo Korony Polskiej. Królowo krwawej korony męczenników, Królowo czarnej korony pomordowanych, Królowo pustej korony wygnanych i jeńców. Pod Twoją obronę uciekł się lud bezbronny. Miała ojczyznę zastąpić wspianłość Twoich ołtarzy, miała ją ratować świętość wiary i nabożeństwa wszystkich jej synów, Twych dzieci.

Nie prosimy już o żaden cud. Nic nam z pieszczoty jakichkolwiek pociech. Przyjęliśmy dopust owej klęski, której odsunąć nikt nie chciał i nikt nie raczył. Któż uczyć nas dzisiaj może miłości albo tęsknoty? Któż wskazywać drogę poświęcenia? I nikt nie wydrze już z serca świętych pamiątek ojczyzny, do których płynnie myśl modlitwą naści. Ani z tych grudek ziemi z pobojo-wisk, co przesiąknięte są krwią, ani kici kwińskiego wrozu, którą zerwał przed przejściem granicy żołnierz, uchodzący od wroga. Ani szkaplerzy i obrazków Twoich, Królowo Korony Polskiej, gdy je przyciskał do potrzaskanej piersi brat i przyjaciel, gdy je całował ostatnim tchnieniem wiary i umiłowań, bro-niący Twego królowania, które nie miało obronić ani ziemi, ani życia, ani żadnej z tych rzeczy, co się mienić było własnością naszą. Lecz poświęcone jest znowu i odkupione najszlachetniejszą ofiarą. Nie zaprzemy się jego wielkości, jak nie wzgardzimy modlitwą, którą miał, umierając w bitwie, niby ostatnie światło na gasnących ustach.

Królowo Korony Polskiej krwawej i czarnej i pustej, módl się odtąd o lepszy los Królestwa Twego między nami i na ziemi naszej.

*) Por. nr. 3 (21) „W Drodze” — Problemy bałkańskie. Bułgaria.

*) Napisana w niewoli niemieckiej. Ukazuje się równocześnie w tomie „Psalmy z domu niewoli”, wydanym nakładem księżnicy Polskiej w Glasgow.

ABRAHAM ADLER

PROPAGANDA NIEMIECKA NA BLISKIM WSCHODZIE*

Ali służy w jednej z formacji legionu arabskiego, pod dowództwem pułkownika angielskiego, „Glob Paszy”. Jest wysoki, barczysty, ma lat czterdzieści, włada biegle językami niemieckim i angielskim, jest przy tym doskonałym szoferem i często pędzi swoją wojskową maszyną po asfaltowej drodze z Amanu do Jerozolimy. W powrotnej drodze zatrzymuje się zwykle w jednej z kawiarni arabskich w Jerycho. Siedząc na niskim stołku, pali nargile i przysłuchuje się monotonnej muzyce arabskiej, lub czyta otaczającym go Arabom gazetę arabską. Ali uchodzi wśród Arabów za, doskonałego polityka.

Zetknąłem się z nim w r. 1942 w okresie największego kryzysu pod El Alamein, bezpośrednio po zlikwidowaniu powstania Raszid Alego. Twierdził wówczas stanowczo, że czas najwyższy, aby Niemcy zrozumieli, że przegrali wojnę. Otaczający go Arabowie byli innego zdania, ale Ali nie dał się przekonać. Wówczas dowiedziałem się o jego nieszykłej karierze życiowej. Pochodzi on z Bagdadu, z dzielnicy Azmia, spędził szereg lat w Niemczech, zwiedził Szwajcarię i Anglię, potem był szoferem konsula niemieckiego w Bagdadzie, dra Gruby. Niemcy uważali Alego za swego człowieka, stracił on jednak zaufanie konsula i posadę u niego po podaniu pewnych szczegółów z działalności poselstwa niemieckiego dziennikarzowi amerykańskiemu. Potem wstąpił do legionu i dosłużył się nawet stopnia sierżanta. „Tu nie stanie nigdy noga niemiecka” — oświadczył mi na pożegnanie, wskazując palcem okolice.

Dr Gruba

„Dr Gruba — ciągnął dalej Ali — oświadczył mi kiedyś, w czasie przejażdżki przez te okolice, że życzeniem jego jest aby Anglicy i Żydzi rozbudowali zakłady przemysłowe, eksploatujące bogactwo morza Martwego, bo przecież w przyszłości staną się one i tak własnością Niemców. Pomylił się, co więcej, nie przewidział swojej ucieczki z Iraku wraz z rządem Raszid Alego.”

Dr Gruba, konsul niemiecki w Bagdadzie, w ostatnich latach przed wojną był postacią znaną w świecie arabskim. Pochodził z mieszczańskiej niemieckiej rodziny Burgów. Stąd jego późniejsze nazwisko Gruba, które utworzył przez odczytanie „Burg” w odwrotnym kierunku i przez dodanie końcówki „a” dla nadania nazwisku brzmienia arabskiego. W czasie poprzedniej wojny służył w dowództwie armii niemieckiej w Palestynie pod komendą generała von Falkenhausena. Nawiązał wówczas kontakt z Arabami z armii tureckiej, między innymi z późniejszym dziennikarzem egipskim Eminem Seidem ze sztabu Limana von Sandersa. Opanował kilka dialektów arabskich, nosił się z arabską i zapuścił brodę. Ożenił się z Syryjką, a po jej śmierci wrócił do Niemiec, gdzie kontynuował studia orientalistyczne; napisał nawet pracę o Bliskim Wschodzie.

Gdy Niemcy zaczęli snuć swoje złote sny o imperium, zetknął się dr Gruba z Ludendorffem na Wilhelmstrasse i został specjalistą w sprawach arabskich. Następnie przyszła nominacja na posła niemieckiego w Bagdadzie. Udało mu się w krótkim czasie rozstać swoich agentów po wszystkich krajach Bliskiego Wschodu. Jego współpracownikami byli: poseł niemiecki w Bejrucie, Seiler, poseł niemiecki w Kairze, von Stohrer, i konsul niemiecki w Jerozolimie, Dietmann. Aby zrozumieć dokładnie działalność dra Gruby, musimy zapoznać się szczegółowiej z całym systemem propagandy, jaki hitlerowcy zbudowali po dojściu do władzy.

Dr Goebbels interesuje się Bliskim Wschodem

Rząd niemiecki otaczał zawsze szczególną troskliwością biura ministerstwa propagandy. Dr Goebbels podkreśla ten właśnie moment w swojej książce p. t. „Vom Kaiserhof zur Reichskanzlei”. Zainteresowanie ministra wzbudzały także kraje Bliskiego Wschodu. Jeszcze przed pierwszą wojną światową propaganda niemiecka starała się tu przeniknąć. Przerwała ją klęska Niemiec. Wznowiona została z wielkim rozmachem po dojściu hitlerowców do władzy. Jak grzyby po deszczu powstawały różne organizacje, mające na celu nawiązanie stosunków gospodarczych i politycznych z krajami Bliskiego Wschodu: „Deutscher Orient Verein”, „Africa Verein”, „Deutsch-Islamischer Verband”, „Verein für Befreiung des Islams”, „Deutsche Orient Bank”, zaś „Bund der Asienvölker”, który istniał już przed wojną, rozszerzył znacznie swoje agendy.

Osobny rozdział w historii propagandy niemieckiej na Bliskim Wschodzie stanowi działalność wydziałów orientalistycznych instytutów naukowych i uniwersytetów niemieckich. Starały się one przyciągać młodzież krajów Bliskiego Wschodu, stwarzając im wygodne warunki studiów. Na uniwersytetach organizowano specjalne kursa, które miały zapoznać młodzież niemiecką z zagadnieniami arabskimi. Prezes „Orientvereinu”, R. Scheider, podkreślał, iż żaden kraj europej-

ski nie osiągnął tyle w dziedzinie badań Bliskiego Wschodu, co Niemcy, i że dlatego mogą się oni poszczycić największą liczbą studentów arabskich. Instrumentem propagandy niemieckiej były też coraz to nowe ekspedycje archeologiczne do krajów Bliskiego Wschodu. Odnaczyli się tu prof. Kreuker, który przeprowadzał badania w Turcji, Syrii i Iraku, ale w gruncie rzeczy zajmował się i innymi zagadnieniami.

Ekspedycje archeologiczne organizował też dr Buchhardt, który skompromitował się kradzieżą posągu królowej egipskiej Nefretete. Posąg ten nie został już nigdy zwrócony Egipcjom, a rząd egipski zabronił niemieckim ekspedycjom przeprowadzania jakichkolwiek badań na terenie Egiptu.

Metody propagandy

Propaganda niemiecka starała się też wyzyskać dla swoich celów pewne momenty ideologiczne świata arabskiego. Niemcy podkreślali przy każdej sposobności, że ich jedynym celem jest przyjsię z pomocą Arabom i że nie mają zamiaru realizowania żadnych planów imperialistycznych na Bliskim Wschodzie. W niemieckich kołach rozgłaszano, że Hitler jako przyjaciel 300 milionów muzułmanów dopomoże do ich zjednoczenia i „że ruch panarabski musi mieć powodzenie, skoro pomagają mu reformatorzy japońscy i technicy niemieccy”.

Pewne koła arabskie zwróciły uwagę na sprzeczność między hasłami, wygłaszanymi przez propagandę niemiecką wśród Arabów, a ich ideologią. Hitler w książce „Mein Kampf” odniósł się do Arabów z wyraźnym lekceważeniem. A wśród wydawnictw Ludendorfa ukazała się w r. 1937 broszura, ostro atakująca Islam i Mahomet. Przywódca młodzieży niemieckiej, Baldur von Schirach, został w czasie swego pobytu w Bagdadzie w r. 1937 zainterpelowany, dlaczego sprzecnie z hasłami propagandy niemieckiej umieszczono Arabów na dwunastym szczeblu rasowym. Wykretna odpowiedź von Schiracha nie zadowolila dziennikarzy arabskich. Zajęcie to było bardzo nie na rękę hitlerowcom, to też z tym większą energią starali się najróżniejszymi sposobami pozyskać opinię arabską. Propaganda ich znajdowała oddźwięk przede wszystkim u młodzieży. W krajach Bliskiego Wschodu organizowano związki młodzieży arabskiej na wzór „Hitler Jugend”. Organizacje jak: „Białe koszule”, „Popielate koszule”, „Żelazne koszule” pociągały przede wszystkim młodzież arabską. Organizacje te znajdowały też poparcie u starszych mieszkańców Wschodu, u których silnie rozwinięte są tradycje i kult wodza.

Narzędziem propagandy niemieckiej była też prasa. Niemieckie agencje prasowe ogłaszały pięć razy dziennie wiadomości bieżące w języku arabskim. Na łamach prasy niemieckiej ukazywały się artykuły, napisane przez dziennikarzy arabskich, a tam, gdzie to było możliwe, starali się Niemcy przekupywać prasę wprost. Nic więc dziwnego, że coraz więcej gazet arabskich apoteozowało Niemcy i ich Führera. Niemcy rzucili też na Bliski Wschód filmy swej produkcji i dostarczali kinom arabskim bezpłatnie dzienników filmowych. Nie zapomnieli też o muzyce, a wiedząc, że ludność arabska przepada za płytami gramofonowymi, zasypywali Bliski Wschód płytami produkcji niemieckiej.

Jeszcze jednym narzędziem propagandy był skomponowany przez hitlerowców „Hymn Zielonego Sztandaru”, w którym nawoływali

oni Arabów do powstania przeciw uciemiężającym ich mocarstwom.

Wehrmacht a Bliski Wschód

Niemieckie sfery wojskowe odnosiły się początkowo z wielkim sceptycyzmem do biura propagandy Goebbelsa. W czasie wyprawy na Suez armia zdobyła wiele doświadczenia w sprawach Bliskiego Wschodu. W sztabie Litzmana von Sandersa i gen. Valkenhausena było wielu wybitnych znawców krajów arabskich. Jeden z dowódców wyprawy suezkiej, Kreiss von Kressenstein, w książce p. t. „Wyprawa z Turkami na Suez” daje doskonały szkic strategiczny i topograficzny krajów Bliskiego Wschodu. Po wojnie pozostała bogata niemiecka literatura wojskowa o Bliskim Wschodzie, między innymi książki znanego agenta i badacza Beduinów, Karola Rassuana. Ponadto miały też duże znaczenie kontakty, nawiązane w czasie współdziałania niemiecko-tureckiego na terenie Bliskiego Wschodu, szczególnie kontakty z oficerami pochodzenia arabskiego, którzy po wojnie zajmowali wybitne stanowiska w arabskim ruchu narodowym.

Mimo to Reichswehra, zajęta początkowo wewnętrzną reorganizacją, nie okazała zrozumienia dla tendencji ministerstwa propagandy. W miarę jednak zbliżania się konfliktu niemiecko-brytyjskiego Reichswehra, przemieniona na Wehrmacht, zaczęła zdawać sobie sprawę ze znaczenia tej propagandy i możliwości wrogiego nastawienia do reżimu brytyjskiego i francuskiego ludności Bliskiego Wschodu. Anglia musiałaby utrzymywać wówczas silne garnizony w tych krajach, co w razie wojny odciażyłoby Niemców. Od tej chwili Reichswehra zaczęła współpracować z ministerstwem propagandy w krajach Bliskiego Wschodu. Sama Reichswehra organizowała specjalne kursa Bliskiego Wschodu dla oficerów. Wassmus, w czasie poprzedniej wojny w Persji znany jako Lawrence niemiecki, jak również i Niedermeier, odegrali poważną rolę w tym ruchu.

Wybitni sztabowcy niemieccy podróżowali po Syrii, Iraku, Egipcie i Palestynie pod własnymi, względnie przybranymi nazwiskami, jako reprezentanci wielkich firm handlowych, względnie jako korespondenci znanych pism i agencji prasowych. Najbliższy pomocnik Rommla, von Tomma, który w obecnej wojnie dostał się do niewoli pod El Alamein, objeżdżał kraje Bliskiego Wschodu pod przybranym nazwiskiem Kurta von Eged, korespondenta D.N.B., a sam Rommel tuż przed wojną był w Egipcie. Obsadę niemieckich linii lotniczych, przecinających Bliski Wschód, stanowili najlepsi lotnicy z Luftwaffe, między innymi płk. Hoffman von Waldau, który w r. 1938 został mianowany przy sztabie generalnym szefem jednostek wyszkoleniowych Luftwaffe, awansował później na generała i został dowódcą lotnictwa w Libii. Zginął w r. 1943 w Rosji.

Allah-Il-Allah... w Berlinie

Nawoływania Allah-Il-Allah rozlegało się donośnym echem pięć razy dziennie ze smukłego minaretu małego berlińskiego meczetu, zbudowanego na kilka lat przed wojną. Muezinem był Abd Il Wahab, pochodzący z Algieru. Brał on udział w powstaniu Rifenów (Kabylów) pod dowództwem Abd El Krima. Po upadku powstania uciekł do Libii, stamtąd do Egiptu i przez dłuższy czas przebywał w krajach Bliskiego Wschodu. W Bagdadzie zapoznał się on z drem Grubą, który wysłał

go do Berlina. Abd Il Wahab rozwijał na terenie Berlina żywą działalność, będąc łącznikiem między ministerstwem propagandy a proniemieckimi sferami świata muzułmańskiego. Główną komórką, centralizującą całą tę akcję, był „Islamischer Kulturbund”.

Bagdad — centrum propagandy niemieckiej

Z niemieckiego biura propagandy przy Wilhelmstrasse prowadziły nici propagandy niemieckiej wprost do biura poselstwa niemieckiego w Bagdadzie, w którym rezydował dr Gruba. W stosunkowo dość krótkim czasie zdołał poseł niemiecki objąć siecią swoich agentów wszystkie kraje Bliskiego Wschodu. W Iraku starał się on obsadzić pewne stanowiska w szkolnictwie, jak również w biurach rządowych, specjalistami niemieckimi. Kierownictwo Instytutu Archeologicznego objął Niemiec.

W Iranie znalazł dr Gruba powolne narzędzie swej polityki w osobie szacha Rezy i pod pretekstem przeprowadzania modernistycznych reform, agencji niemieccy opanowali różne dziedziny życia perskiego, bądź to w charakterze specjalistów technicznych, bądź jako doradcy finansowi, względnie jako przedstawiciele różnych niemieckich firm handlowych.

W Syrii próbował dr Gruba pozyskać zwolenników swej akcji za pośrednictwem Szukriego El Ketleya. Konsul niemiecki w Bejrucie, Seiler, miał niezwykle wpływ na młodzież arabską, szczególnie w dwóch organizacjach skrajnie-nacjonalistycznych, jak gwardia żelazna i gwardia arabska, które się połączyły razem na konferencji panarabskiej w Baludanie. Konferencja ta z r. 1937 była inspirowana przez Niemców, którzy okazali wielkie zainteresowanie ruchem panarabskim, a jedynym dziennikarzem europejskim, jaki brał udział w tej konferencji, był Niemiec, znany agent prasowy, Wenselten. Na terenie Syrii działał też Karol Rossuan, który jeszcze bezpośrednio po tamtej wojnie zdołał nawiązać kontakt z niektórymi szepcami beduińskimi, jak plemionami Raula i Haausi, i spędzić wśród nich wiele lat. Jest on autorem kilku ciekawych książek o pustyni syryjskiej i tamtejszych plemionach. Na kilka lat przed wojną został on przydzielony do grona współpracowników dra Gruby.

Dr Gruba usiłował opanować swą propagandą teren Egiptu. Udało mu się wprawdzie pozyskać niektóre mniejsze pisma na tamtejszym terenie. Stanowisko jednak wpływowych pism egipskich, jak „Ahram” i „Al Mukatam”, było nieprzejednane. „Ahram” napiętnował nawet te pisma, które były na usługach Niemców. Także filmy niemieckie nie cieszyły się wielkim powodzeniem, a projektowane wizyty dra Goebbelsa i Baldura von Schiracha nie doszły do skutku z powodu sprzeciwu egipskiej prasy publicznej.

Tylko Rommel, późniejszy dowódca Africa Corps, uzyskał w skutek starań poselstwa włoskiego zezwolenie na przyjazd do Egiptu. Należy bowiem zaznaczyć, że Włosi, o ile okazali zupełną obojętność w stosunku do propagandy niemieckiej w innych krajach arabskich, to jednak uważali Egipt za domenę swoich wpływów i nie chcieli dopuścić do rozpanoszenia się propagandy niemieckiej na tym terenie.

Wojna położyła kres całej tej propagandzie, która zaczęła szukać nowych dróg i nowych metod.

E G G A V A N H A A R D T

wybitna malarka polska,
zmarła w Jerozolimie
dn. 25 marca 1944 r.



IDĄCA
(olej)



PORTRET WŁASNY W CHIŃSKIM
KAPELUSZU
(olej)



MASKA ŚMIECHU
(rzeźba)

*) Rozdział z książki, przygotowywanej przez autora w języku hebrajskim i polskim.



Berlio wodza z Akropongu

Na północ, zaledwie dwadzieścia mil od półpustynnych, płaskich, żarosiennych rzadkim bushem brzegów południowego Atlantyku, w okolicach Accra wznoszą się pagórki. Na tle wyszarzanych krzaków, wypalonych stwardniając traw i przesiwiecającej, czerwonej, twardej jak skała ziemi widać w odległości zarzys drzew-olbrzymów, oazę zieleni. Gdy nieśmierśnierne słońce praży, wysuszając nadbrzeże i zamieniając je w wielkie polacie białej soli, nad niedalekimi wzgórzami kłębią się chmury, niebo pokrywa się arabeskami błękitu i przechodzą ulewę tropikalne. To wzgórzca to początek pasma puszczy, kraju kakao.

Aburi

Jadę półpustynią w kierunku wzgórz. Od czasu do czasu podrywa się z krzaków „bush foul” (afrykańska łosna kuropatwa o smaku bałanta). Jest bardzo gorąco i bush pali się w wielu miejscach. W dali z płaszczyzny wyrasta potężna skała-samotnica. To „mapia skała”. Rodziny setek pawianów obrwały ją sobie za siedlisko. Krzaki gęstnieją, ukunają się drzewa i trawy, zmieniają kolor. Zamiast męczące oczy szarości pojawia się kolor zieleni. Podjeżdżamy pod pierwsze wzgórze. Wspaniała zielen tropikalnego lasu, palmy olejowe, pola kassawy — wszystko o niespełna milę od beznadziejnej półpustyni. Droga prowadzi po bardzo stromej pochyłości. Szofer zmienia co chwile biegi, a motor Chevrolet potężnie sapie.

Parę mil z góry na górę, i wjeżdżamy do Aburi wsi, a potem do wspaniałego parku. Jestem w sali doświadczałnej agronomicznej Gold Coastu. Wszystko, co rośnie lub może rosnąć w tropikach, jest tu reprezentowane. Palmy z zachodnich Indii i Cejlonu, zioła, aleje, części ogrodu są pod uprawą drzewek kakao, drzew kauczukowych (hevea brasiliensis), palm olejowych, z pignek strzyżonych trawników strzelają w niebo kępy bambusów. Nad wszystkim króluje potężny staryce dawniej puszczy, 70-metrowy kapok.

Zamieszkuję w pięknym bungalowie gubernatora z rodziną przyjaciół Francuzów z Accra.

Dziś wieczór po raz pierwszy w dziejach Aburi ma odbyć się pod wielkim kapokiem bal na fundusz zakupu „Spitfire’a”. Z setka ochotców i dziewcząt z miejscowej „Scottish Mission” kręci się pod olbrzymim i układa podłogę z płótna żaglowego na trawie. Inna grupa buduje palisadę z bambusów i liści palmowych.

O zmierzchu zaczyna się zjawiać publiczność. Zajeżdżają piękne, lśniące Buicki i Hudsony. Obok nich parkują „mummy busy”. Wszystkie anonują swe przybycie, klaskosunąc zawzięcie. Z eleganckich wozów wysypuje się czarna arystokracja we frakach i smokach i jaskrawych sukniach balowych. Czarne lades pokryte są ciężką, złotą biżuterią, która pięknie odcina się od ich skóry. Z „busów” wysiadają barwnie postacie w strojach lokalnych, ręcznie tkanych oponach lub perkalach manchesterskich.

Z jednego samochodu wychodzi starzec w miodejkiej się złotem todzie. Przy nim świta, niosąca insygnia władzy — olbrzymi parasol o barwnych kolorach, tron i złote berło, — oraz doboz-herold łeśnego władcy. Kolorowa publiczność rozsuwa się, dając miejsce otłazakowi. Starzec o spiczastej brodzie i w złotej koronie na głowie wkracza na polanę i zasiada na stolec pod parasolem. Ogrodzona liściem palmowym polana pod kapokiem napełnia się powoli. Przeprowadzono z naszego bungalów kabel elektryczny i między tropikalnymi okazami flory jarzą się kolorowe lampki. Znow nadzieją miejscowy kacyk. Poprzedza go murzyn, dmący w jakiś instrument, który wydaje dziwny głos, przypominający krzyk sowy. Gdy wchodził w krąg światła, widzę narzeczcie instrument — czaska ludzka.

Są trzy orkiestry dziś wieczorem. Dęta policyj, jazz z dancingu murzyńskiego w Accra i miejscowa cumba-simpa. Zajmują stolik z przyjaciółmi obu orkiestry simpas-cumbas. Simpa to orkiestra-chór. Ze dwudziestu młodych chłopców, którzy śpiewają i przy pomocy kilku prymitywnych instrumentów — bębenków i katanistów i tykw, wypełnionych

grochami lub piaskiem — produkują rodzime melodie i rytmy. Ta orkiestra wydaje mi się najbardziej na miejscu na tej polanie, wyciętej z puszczy, w ciepłą noc tropikalną. Stanowią oni część krajobrazu. Rytm i melodie cumbas to pierwowzór rubm, jak kukaracz i kong, które kiedyś ich przodkowie jako niewolnicy zawieźli ze sobą na drugą stronę Atlantyku. Przez wieki śpiewali je czarni w dorzeczech Amazonki, Missisipi, na plantacjach cukrowych Kuby. Nadszedł czas zemsty. Biali panowie, dawni ich władcy, ulegli ich muzyce. Dziś na wszystkich dancinгах białego świata panie i biali panowie starają się, jak-że nieudolnie, naśladować swych czarnych niewolników przy dźwiękach zreformowanej muzyki Złotego Wybrzeża.

Czarni panowie we frakach i czarne panie w balowych tuletach wstydzą się prymitywnych cumbas i wolą jazz, który wygrywa rodzaj stylizowanej rumbas o żłosiwłej nazwie „high life”.

Bliisko naszego stolika zbierają się bardziej „zachowawcze” elementy. Jest sporo tych tancerzyków, chłopców i dziewcząt, którzy tańczą naprzeciw siebie, nie dotykając się. Jest jedna para, która zwraca uwagę — pięknie zbudowana, smukła dziewczyna i zgrabny chłopak. Dziewczyna ma miękkie, kocie ruchy, jej postać jest uosobieniem rytmu i harmonii. Chłopcy cumbasy nucią jakąś dziwną pieśń. Jej rytym jest nierówny i nerwowy. Piękna para tańczy tuż koło stolika. Tańcząc tańce miłości. Ich gra miłosna w tańcu jest tak bezpośrednio oczywista, że moja piękna sąsiadka rumieni się po czubki swych rudych włosów. Wielki kapok też jakby się zastawdził i schował swą potężną koronę we mgłę, która powoli zaczyna opadać na Aburi. Jest prawie że zimno, ale mimo to atmosfera „gęstnieje” na polanie. Szefowie, którzy tego



Dziewczyny śmieją się na Złotym Wybrzeżu

dnia zdecydowali zerwać z normalną abstynencją i wypili dość dużą ilość whisky i żłinu, wstępują w szranki tancerzyków. Tańcząc pod parasolami z całą swą wzięcią. Mój siłowłowy król Lir, z koroną przekrzywioną na głowie, tańczy, zataczając się, — wygląda jak bożek Pan, wiodący orszak piątki pod czas Dionizjów. Dochodzimy do wniosku z sąsiadką, że jest najwyżej czas, by „blade twarze” pozostawić polanę w puszczy ludzkości.

Doktor Oku Ampofo

Jadę do Mampong, parę mil od Aburi. Droga prowadzi wśród puszczy i plantacji kakao. Mampong to Mekka kakao. Tu przed kilkudziesięciu laty zasadzono pierwsze drzewko. Drzewko stoi jeszcze, pokryte pleśnią i mocno spróchniałe. Stoi za ogrodzeniem i mimo że już nie rodzi wrzecionowatych owoców, co roku otrzymuje ze wszystkich zakątków Złotego Wybrzeża ofiary. Tak czarni wyrażają wdzięczność temu pierwszemu drzewku, które stało się największym bogactwem kraju i które pozwoliło wielu młodym ludziom wypłynąć z rodzinnych wiosek na świat szeroki.

Wita mnie jeden z nich, doktor Oku Ampofo. Mówi po polsku, dzień dobry panu! Przypuszczam, że mam minę podobną do Robinsona Cruzoa, gdy zobaczył ślad Piętaszka na piasku, bo doktor wybucha śmiechem. Podczas swego siedmioletniego pobytu w Europie, na studiach w Edynburgu, doktor zwie-dził niemal że całą Europę i spędził ponad sześć tygodni w Polsce. Był w lipcu. Gdy go pytam, jak mu się podobają Polska, mówi, że piękny kraj tylko... za gorąco. Twierdzi z uporem, że się nigdy w życiu tak nie pocili, jak w Warszawie.

Doktor ma 29 lat, twarz inteligenta, gra bardzo dobrze na fortepianie (jeden z tuzina na terenie Złotego Wybrzeża, co zresztą uważane jest za rekord; w Sierra Leone jest jeden, i to, jak wszystkie żłarty przez wilgoć), w jego po europejsku urządzonym pięknym bungalowie wiszą na ścianach pięknie wykonane w drzewie maski. Jego biblioteka zaopatrzona jest, poza dziełami medycznymi w poważną ilość książek, traktujących o zagadnieniach socjalnych, filozoficznych i historycznych, a pod dużym pateronem piętrzą się najlepsze nagrania symfonii Beethovena, Czajkowskiego i Brahmsa. Dom doktora prowadzony jest według starych zasad rodzinnych Twi (szczęść, do którego doktor należy). Zostaje kolejno przedstawiony całej rodzinie. Jest sympatyczny brat, który zajmuje się apteką, wchodzącą

HENRYK GIELDZINSKI

w skład gabinetu przyjęć, są dwie sanitariuszki, kuzynki doktora, i... Adua, gospodyni, kucharka i przyjaciółka matki. Adua zjawia się ze swym ostatnim dzieckiem na plecach, z zażenowaniem ścisła mi rękę i pyta doktora w języku Twi, co ja będę jadł. Proszę doktora, by podczas całego mego pobytu u niego nie kazał gotować nic, przypominającego szkocką kuchnię. Adua cieszy się i odda-je mi jak każdy człowiek plemienia Twi, z tym, że nigdy nie wiem, co jem — zostaje to nie słodką, ile raczej pikantną tajemnicą Aduy.

Chorzy ludzie

Zrana pod szopą, ustawioną przy wejściu do ogrodu, zbierają się chorzy. Przypomina mi się trochę poczekalnia w Kasie Chorych w Warszawie. Są młodzi i starzy, kobiety z dziećmi, tylko że na plecach. Jest jedna zadnicza różnica, nikt się nie śpieszy. Nie potrzeba woźnego, który wydaje „małe numery” za złotówkę. Czas nie ma wartości w Afryce, a dobre manlery nakazują czekać spokojnie, aż doktor wezwie. Pacjenci są nieraz z bardzo daleka. Doktor, choć leczy przy-watnie, ma pod swoją opieką cały wielki okrąg o promieniu co najmniej 50 mil.

Będę dziś przyjmować pacjentów razem z doktorem. Ubiaram się w biały kitel i zaczynamy.

Mata, Mike i Wiktorja

Moje smutne rozmyślania nad stanem zdrowotnym czarnych, potęgowane smętną muzyką „Na stepach Azji” Borodina, którą nagrał Stokowski w Filadelfii, której ja słucham w Mampong, — przerwa przybycie trzech ładnych dziewczyn. Ich prababki napewno popełniły megalania z jakimś członkiem załogi „slavera”, bo wszystkie trzy są „chocolat au lait”, przyczem ilość mleka jest dość różna.

Są one niewysokie i bardzo dobrze zbudowane w sensie europejskim. Mata, to roz-dawca, pracownica apteki, Mike i Wiktorja są nauczycielkami w państwowej szkole dla dziewcząt w Accra. Wszystkie trzy to niewątpliwie szczytowy produkt nowej Afryki. Mówią bardzo poprawną angielszczyzną, a ich pytania i odpowiedzi są zupełnie na poziomie mieszczanek małych miasteczek Europy.

Wieczorem, po kolacji, tańczymy przy dźwiękach pateronu i słuchamy pięknego basu ich ulubionego śpiewaka Paula Robsona. Doktor idzie spać, a ja z Matą i Wiktorją zo-



Polana pod wielkim kapokiem w Aburi

Fantazja Almayera

staje i gwarzymy do późnej nocy. Mata opowiada mi swe koleje życia.

Opowiadanie Maty

Urodziłam się w Accra 23 lata temu. Ojciec, który ukończył studia prawnicze w Anglii, zajmował poważne stanowisko zastępcy dyrektora ceł kolonii. Ja byłam córką jego pierwszej żony, którą poślubił według obrządku chrześcijańskiego, poza tym miał jeszcze dwie żony, poślubione według miejscowego zwyczaju. Nie pamiętam, ile nas było dzieci w domu, zresztą liczba się stale zmieniała, dużo mych braci i sióstr umarło. Dziś jest nas dziesięcioro. Mimo że ojciec dobrze zarabiał, mi wszystkie dzieci mogły się kształcić. Ja byłam najstarszą córką i po-szłam do szkoły. Mam trzy siostry, które nie mówią ani słowa po angielsku. Mimo że ja chodzę w buickach na wysokich obcasach, a me siostry bosy, jestem bardzo przy-wiązana do mych sióstr i większą część mego zarobków jest dla nich przeznaczona. Zarabiam dużo jak na nasze stosunki — 16 fun-

PODRÓŻ DO KRAJU KAKAO

tów miesięcznie, nie zostaje mi jednak nigdy więcej jak 5 funtów dla mnie... Mata wzdycha: „U nas nigdy nie będzie bogatych ludzi. Im kto bogatszy, tym ma więcej żon, większą rodzinę, która wisi u jego kłami i którą musi utrzymać. To może się planu podobać, ale to w dużym stopniu zosłabia inicjatywę jednostki. Moje dwie siostry nie pracują zupełnie, bo wiedzą, że ja mogę je utrzymać. Gdybym oponowała, siostry przypomniałyby mi, że ojciec nie po to żył na moją naukę, bym się sama wzbogaciła. Miałam bardzo bogatego, jak mówiono w Accra, wujka. Gdy zmarł, okazało się, że nic nie zostawił; jak większość bogatych ludzi u nas, zjadła go rodzina”.

Nie myślę, żeby dziewczynki dojrzewały u nas wcześniej niż w pańskim kraju. Gdy miałam 14 lat i po raz pierwszy poczułam, że jestem dorosłą kobietą, matka ubrała mnie w białą suknię, włożyła na mnie całą swą biżuterię i w niedzielę przy dźwiękach muzyki oprowadzono mnie po podwórzu naszego domu. We wsiach dziewczynki są oprowadzane po głównej ulicy i naczyno, to że każdy mężczyzna może odtać ubiegać się o jej rękę.

W mieście dziewczynki nie wychodzą za mąż przed 17—18 rokiem życia.

Nie jest dobrze widziane, gdy dziewczyna flirtuje przed ślubem, lub gdy ma dziecko. Ale nie ma to też większego znaczenia. U nas nie ma ostrych przepisów co do dzieci „nie legalnych”. Wszystkie dzieci dziedziczą po wuju, a więc nie ma to wagi, kto jest ojcem. Gdy miałam lat 18, zaczęła się starać o mnie pewien młody adwokat z Accra.

Podobał mi się i pewnego dnia przysłał 5 funtów oraz całą szereg drobnych upominków. Znaczyło to, że chce mnie pojąć za żonę, a pieniądze, które przekaż, były przeznaczone na mój ślubny strój. Jest zwyczaj Twi, że po nocy spędzonej z małżonką, mąż przysyła rodzicom butelkę żłinu i białą kordę gdy żona była dziewczą, gdy zaś nie — tylko pół butelki i bez wstążki. — Mata się śmieje na moje niedyskretne pytanie. Zapewniam pana, że mój ojciec otrzymał pełną butelkę żłinu. Moje pożycie z mężem nie układało się od początku. Mimo że wykształcony w Anglii, nabrał tam tylko złych zwyczajów. Nauczył mnie naprawdę całować się po europejsku, ale przyprowadzał do naszego mieszkania różne kobiety, które nieraz i po parę dni tam przebywały. Nie mogłam tego znieść i rozwiódłam się. Czy znowu wyjdę za mąż, nie wiem. Zarabiam więcej od wielu mężczyzn i mam przyjaciela z Indii Zachodnich. Jest niewiele mężczyzn u nas, którzy mają wykształcenie europejskie. Zrywają oni z zakorzenionym wielożenstwem i beżadem piciovym.

Najbardziej sprecyzowane poglądy mają muzumianie. Koran uregulował ich życie do najdrobniejszych szczegółów i złamanie przepisu grozi piekłem. Ponieważ jednak przepisy są formalne, obejście ich znowu nie jest tak trudne. Opowiadał mi Ampofo, że któregoś dnia zjawił się u niego stary człowiek z północy i, narzekając na ból w żołądku, prosił, by mu zapisać wino palmowe jako lekarstwo. Doktor podejrzliwie zapytał o wyznanie, a stwierdziwszy, że ma do czynienia z wyznawcą Mahometa, przepisał mu wino. Odtąd czarny pijak ciągnął litry wina, nie bojąc się mocy piekielnych.

Często zadawałem sobie pytanie, który z obrządków chrześcijańskich cieszy się największym powodzeniem wśród czarnych. Kry im najbardziej duchowo odpowiada. Statystyki nie są w tej mierze miarodajne. Misje w dawnych czasach utrzymywały swe strefy wpływów, tak np. misje szwajcarsko-kalwinijskie na terenie Złotego Wybrzeża. Dziś jeszcze w Kongo Belgijskim kraj cały nie tylko podzielony jest na strefy wpływów poszczególnych wyznań chrześcijańskich, ale nawet katolicy misjonarze, jezuiti oraz dominikanie, mają wyłączone na pewnych obszarach.

Początkowo miałem wrażenie, że katolicyzm, jako religia mas z najpalciejszą stroną obrzędową, winien najbardziej apelować do wyobraźni murzyńskiej. Jak się przekonałem, jest to w zasadzie słuszne, z jednym poważnym zastrzeżeniem, przemawiającym za rozwojem protestantyzmu. Czarni ledwie lubią brać czynny udział w ceremoniach. Gdy więc śpiewają razem z pastorem psalmy, czynią się współprzemyślnymi odbywającego się misterium. Odprawianie mszy za nich” przez księdza nie jest dla nich zrozumiałe.

Mimo poważnej krytyki ze strony miejscowych kolonistów nie spotkałem czarnego człowieka, któryby wyrażał się źle o misjach. Były one pionierami oświaty w tym kraju i każdy murzyn rozumie, że choć często może niedoskonałą wiedzę dać misję jemu lub jego dzieciom — to wiedza ta jest najwężniejszą narzędziem w walce człowieka z otoczeniem. Nie byłoby doktora Ampofo, gdyby w jego rodzinnym Mampong misja szwajcarskich kalwinów nie otworzyła szkoły dla murzyniutek 50 lat temu. Praca misjonarska przez wynalezienie szepełkone na żółta febrę i wykryciem przyczyn malarii to całkiem coś innego, niż dzisiejszy młody weekend w Akwarium. Gdy patrzę na brodatę fotografię, wiszącą w szkole, przypominającą mi się założycieli misji, napadam, nie mogę zrozumieć, jak ci ludzie mogli tu wyżyć w tych odległych czasach.

Wielki szef w Akropong

Spocony i półprzyjazejdzam wreszcie na mym rowerze do Akropong i staję na rynku. Brat Ampofo, który wybrał się po zakupy do miasta, pyta, czy nie chciałbym zobaczyć się z Wielkim Szefem. Stoimy przed prymitywnym parterowym budynkiem. To siedziba szefa. Szef przyjmuje mnie w sali posiedzeń. Siedzi na stołku przed dużym stołem. Obok niego sekretarz, a wokół pod ścianami starszymi dystryktu. Przybyłem w czasie posiedzenia rady. Szef jest ubrany w czarną oponę. Jego prawa pierś i ramię są nagie. Pytam mego cicerone, czy szef umie po angielsku. Szef odpowiada sam. Ukończył Cambridge 10 lat temu oraz szereg lat praktykował jako adwokat, a dopiero niecały rok temu objął urząd, a raczej został wybrany przez ludność na intratną posadę szefa.

Spedzamy z nim i jego radą blisko dwie godziny. Mówimy o organizacji władz i rezultatach, jakie dają zasady polityki kolonialnej Wielkiej Brytanii, no i o wojnie.

Władze południa Złotego Wybrzeża są zorganizowane w bardzo demokratyczny sposób. Szefowie są wybierani, a nie dziedziczni, a zakres ich władzy jest mocno krępowany przez radę, która w wypadku, gdy szef łamie prawo lub zwyczaj, może wystąpić do władz o pozbawienie go stola. Szef jest w zasadzie administratorem wspólnoty plemiennej, poza tym sędzią lub assessorem, gdy sądzi miejscowych białych starostów. Stanowiska szefów są intratne w bogatych okęgach. To jest zapewne przyczyną, że Złote Wybrzeże jest obecnie w trakcie zamiany starych kacyków na młodszych zarządców, często z wykształceniem uniwersyteckim. W czasie gdy rozmawiam z elewem Cambridge, na terenie Złotego Wy-



Dr Oku Ampofo z małżonką

brzeża toczy się około czterdziestu procesów o pozbawienie go stanowiska szefa.

Indirect Rule

„Wynalazcą” metody rządzenia, która dziś stosowana jest w Zachodniej Afryce, był w pierwszym dziesiątku lat XX wieku lord Lugard, który dokonał podboju i pacyfikacji terenów, dziś objętych nazwą Nigerii. Lord Lugard nazwał tę metodę „indirect rule” t. j. rządy pośrednie. Jak każda metoda rządzenia, tak i ta ma swych zagorzałych zwolenników i przeciwników. Jednak, co jest najwężniejsze, jest ona stosowana i daje harmonijną współpracę między rządzącymi a rządzonymi.

Lord Lugard pierwszy starał się uzasadnić moralnie obecność człowieka białego w Afryce. Ma on obowiązek podniesienia murzynów na wyższy szczebel kultury i doprowadzenia ich w rezultacie do samorządu. Dla osiągnięcia tego celu należy, o ile to możliwe, pozostawić lokalne instytucje, zwyczaje i prawa, usuwając jedynie te, które nie godzą się z zasadami humanitarnymi cywilizacji chrześcijańskiej. Jednocześnie należy podnosić stan moralny, fizyczny i materialny mieszkanców. Afryka, jak mówi kardynał Hinsley, stoi dziś jako wielki znak zapytania między wschodem a zachodem. Ten znak zapytania zmieniał w ciągu wieków nazwę: „Czarny Ład”, „Ład Wielkich Nieporozumień”, „Ład Wielkich Możliwości” i wreszcie dzisiaj „Ład Wielkiej Odpowiedzialności” ludzi białych.

Gdy się obserwuje praktyczne zastosowanie „Indirect rule”, uderza każdego jego podobieństwo do rzymskiej zasady rządzenia, opierającej się na „jus gentium”.

Czytałem kiedyś historię odnalezienia tronu Ashanti. Historia ta jest niezmiernie charakterystyczna, a rola gubernatora Złotego Wybrzeża przypomina jurysdykcję Poncjusza Piłata.

W 1925 roku wybijano drogę przez puszcę koło Kumasi. Robotnicy, pracujący przy jej budowie, wykopalili przypadkiem stynny tron Ashanti, który podczas ostatnich rozruchów przeciwko białym znikł w puszczy. Robotnicy, którzy przeważnie należeli do plemienia z północy, zakradli się wieczorem do szopy, gdzie złożono tron na przechowanie, i rozkradli wiele z jego złotych ozdób. Wiś o tym światokradztwie rozniósł się po puszczy lotem błyskawicy. Szefowie z poszanym i groźnym czołem zjawili się u Wysokiego Komisarza Ashanti z zapytaniem, jakie kroki ma zamiar podjąć, by ukarać sprawców świę-

tokradstwa. Zarządca, jak Piłat, odrzekł: „Niech się stanie według waszego zwyczaju”. Schwytani po pewnym czasie sprawcy stąpili przed sądem szefów, którzy skazali ich na śmierć. Wysoki Komisarz umył ręce, wyrok zatwierdził.

Lewica angielska zarzuca, że „indirect rule” jest niedemokratyczny, że propaguje miejscowych kacyków- dyktatorów, zabijając stare demokratyczno-komunistyczne wspólnoty murzyńskie.

Jest to niewątpliwie częściowo prawdziwe, ale nie np. w Akwapim, gdzie władza szefa jest niezmierznie ograniczona. Angielska administracja nie zmienia miejscowych instytucji, a tylko je zatwierdza. Tak np. na północy Nigerii — olbrzymie potacie kraju są podzielone między kilku sułtanów, którzy są rzeczywistymi władcami absolutnymi. Byli oni nimi jednak jeszcze bardziej przed podbojem lorda Lugarda.

Gdy zgłaszam północ Nigerii, dostąpiłem rzadkiego zaszczytu rozmowy z sułtanem Sokoto, Sarkim Muslemi (królem muzumianów), który jest najpotężniejszym z władców Afryki na południe od Sahary, na półtora miliona własnych poddanych i jest głową wszystkich muzumianów, liczących ponad 3 miliony dusz.

Sarkim Muslemi

Sułtan Sokoto, potemek długiej generacji władców, którzy, poczynając od jeziora Chad, podbili olbrzymie terytorium północnej Nigerii, jest dziś właściwie wysokim urzędnikiem angielskim. Otrzymuje on roczną pensję w wysokości około 6.000 funtów, a poza tym ciągnie dochody ze swego państwa. Jest to władca autokratyczny z radą przybożną, którą sobie sam dobiera, wydaje wyroki we własnym imieniu. Na całym swoim olbrzymim terytorium ma „do pomocy” zaledwie paru angielskich starostów. Mimo że jest ich zaledwie kilku, władza w rzeczywistości spoczywa w ich rękach. Jest ona tak dyskretna, że nikt poza sułtanem i jego najbliższym otoczeniem nie zdaje sobie z niej sprawy. Ja jednak nie mam żadnej wątpliwości, że władza ta jest realna.

Poprosiłem o audiencję u sułtana przez miejscowych kacyków- dyktatorów, zabijając im niezmiernie ciekaw nie tylko jego, ale pałacu, no i liczyłem na możliwość zobaczenia zanikającego instytucji — haremu, w którym, jak mi opowiadano, sułtan ma 300 żon. Ta ostatnia nadzieja okazała się płonna. Wybrałmy się do pałacu o godzinie 10 rano. Sułtan oczekiwał już na nas przed swym domem na wielkim podwórzu. Przywitał nas szeregiem grzecznych zdań, w języku hausa, w których słowo „lafia” (sen) powtarzało się z uporem. Zrozumiałem, że pyta nas, czy dobrze się nam spało i czy mieliśmy przyjemne sny. Byłem zaskoczony zupełnością zapasu zdań, któryby pozwolił odpowiadać wzajemnymi komplementami. W końcu powiedział sułtan zaprzestaj żenującego komplementowania i wprowadź nas do sali audiencjalnej.

Sułtan zasiadł na tronie. Był to młody człowiek, około lat 30, w pięknym białym stroju i turbanie na głowie. Obok niego na dywanie zajął miejsce wezyr, wspaniały starzec, o przebiegłych oczach, wyglądających spod fioletowego turbanu. Obok nich kilku członków rady i tłumacz, który ukończył Oxford. Wszyscy mają regularne rysy, co wybitnie świadczy o domieszcze krwi arabskiej. Sułtan i jego świta nie mówią po angielsku, a raczej udają, że nie mówią. To duża wygodnie usłyszeć to samo zdanie dwukrotnie i dopiero potem odpowiadać. Sułtan zadaje mi pytania. Pyta się, jak się wydosłatem z Polski. Zna dokładnie przebieg kampanii, ka-że sobie przynieść atlas geograficzny i pokazuje mi kierunki natarć niemieckich w pierwszych dniach września 1939. Pyta o obecne stosunki w Polsce. Maluję mu niewielkie traktowanie ludności białej, co dopiero mówić o ludności kolorowej, którą w swym dziele Hitler uznał za pomałpy.

Twarcę sułtana i wezrya pospępnęją. Rozmawiając ze sobą przez niewiele czasu, a potem pytają, czy nie byłoby wygodniej, by z chwilą schwytania Hitlera i przekazania go Polakom zostawił mu tyle czasu życia, by sułtan i jego wezyr mogli z nim „porozmawiać” przez parę godzin. Rozumieją doskonale, że Polacy mają pierwszeństwo — może jednak zgodzili by się na tę propozycję.

Spotyka mnie wielki zaszczyt. Sułtan daje się sfotografować. Głowa muzumianów Afryki tropikalnej daje mi do zrozumienia, że to po raz drugi w życiu. Pierwszy raz — podczas koronacji króla w Londynie. Zegnam miłe po-chlebione, patac tego „samodzielcy” Nigerii.

Myślę o nim, gdy wychodę od szefa, adwokata w Akropong. Te dwie postacie pokazują, jak różnorodne jest życie Afryki i jak trudno je ująć w jakiejś jednolitej ramy, jakby to chcieli niektórzy, siedzący o tysiące mil stąd teoretycy.

NOWOŚĆ!

Wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa „W Drodze” książka dla dzieci

ANATOLA KRAKOWIECKIEGO

Bajki bialo-czerwone

z rysunkami

ZYGMUNTA KOWALEWSKIEGO.

Cena: 250 milsów.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

SKORPJON

Nauczyłem się astronomii
w jerozolimskim niebie,
rachunek gwiazd nieprzytomny
w sumie dawał mi ciebie.

Co wieczór przede mną się chwalił
księżycooki astronom
Koroną Borealis
i wielogwiazdny Skorpjonem.

Więc uwielbiałem gwiazdy,
liryczny okultysta,
dlatego że uśmiech twój każdy
to była droga gwiazdzista.

I tak się jakoś złożyło,
że nie widziałem cię miesiąc;
niebo się wyiskrzyło,
zgaś Miesiąc.

Szedłem, zawiany lekko,
gwiazdozbiór mi żaden nie sprzyjał,
do ciebie było daleko,
przestałem liczyć na przyjazd.

i moja dusza strapiiona
ocknęła się po raz pierwszy:
w niebie nie było Skorpjona,
w sercu nie było wierszy.

Gdy serce krwawi od żądzła
wrogiej mi konstelacji,
choćbym prosił, nalegał, żądał,
Skorpjonie, — nie będę miał racji.

AWANTURA z MUZYKĄ

Choć urzeczona zagnała Mozartem
wśród różowego scherza,
dusza spostrzegła, czym był żartem
dziwny i ostry ból serca.

i zawiązali oczy mej duszy,
i wzięli duszę pod ręce,
by ją prowadzić pośród katuszy
ku fantastycznej męce.

I już po chwili daremną skargą
w mroku płynęło adagio,
a potem duszę urzekło largo
gwiazdno-muzyczną magją.

Dusza chce uciec, lecz nie ma dokąd,
daremną z muzyką walka,
a smyczki tną i tną con fuoco,
żeby zjawiła się Lalka...

Wtem ciąć zaczęła smyczkami ostro
cała kapela szatańska,
zjawił się w kusym fraczku Cagliostro
i E. T. A. Hoffmann z Gdańska,

Lecz Lalka znikła z tego tematu,
próżno czekają ciekawi,
a serce długą tęsknotą fermatą
krwawi.

WIERSZ PRZECIWJESIENNY

Hamsin jesienny przyleciał pierw
niż zwiędłe listki akacji.
Przyszedł Herr Doktor: „Es kommt der
Herbst“, —
powiedział i nie miał racji.

Listki akacji? Jesień? No tak...
Życie? — no tak — niewczesne...
Pozwól, że łknę — niech trafi szlag! —
pozwól, że łknę i westchnę.

Owoc pomarańcz zbiera już sok,
rośnie, pęcznieje powoli...
No powiedz, miła, już piąty rok
nie słyszę szumu topoli.

Ale niech śpiewa z wichrów i burz
pieśń moja młoda, radosna.
Miła, przyniosę ci bukiet róż,
to wiosna, miła, to wiosna!

A we mnie wieczny, wiosenny szum
wzbiera, narasta — i śpiewa!
Tak właśnie Schumann myślał: „Warum?“
tak właśnie miłość dojrzewa.

Ty się uśmiechniesz — (taki mój los!) —
uśmiechniesz się, młoda, uroczą,
i miły będzie uśmiech i głos,
i kurze łapki przy oczach.

WYCIECZKA MALARSKA

Domki stadem srebrnopiórych gołębi
osiadły na strumem zbczu.
Zieleń młoda, szary błękit wzgórz w głębi, —
to wiosna dla naszych oczu.

Dla tej plamki zielonkawej, Alicjo,
przymknąłem oczy jak do snu,
żeby usnąć w jej radości i śnić ją,
budząc się bardziej radosny.

Namaluj to, Alicjo, akwarelą,
a ty, Krystyno, narysuj:
niech się w niebo Galilei waniela
rzewne pochody cyprysów,

Jak dobrze jest patrzeć się w błękit nieba,
siedząc na ziemi w ogróku...
Właściwie, Krystyno, czego nam trzeba? —
chyba ucieczki od smutku.

niech się bielą cieszą młode czereśnie,
jak psotne arabskie dzieci,
eukaliptus niech jak brzoza westchnie,
że w niebo nie może wzlecieć.

Waszą młodość piję dzisiaj jak wino,
nacóż więc teżka liryczna?
Śliczne jesteście, Alicjo, Krystyno,
i Galileja jest śliczna.

STANISŁAW BALINSKI

ŚPIEWNIK POPULARNY

„Mon pays sera mes amours toujours!“
(Chateaubriand)

Płynę do ciebie po nocy,
Kraju mój, śpiewny, uroczy,
Tam chmurki drżały z tklivością,
A wiatr kołysał serdecznie, —
O kraju mój, tyś mą miłością
Wiecznie.

Każdy skądś przecie pochodzi,
Ten z Krymu, ten z Walli, ten z Łodzi,
A ja pochodzę od młodu
Z białopięknego ogrodu,
Z doliny, z olszy i z rzeki
Dalekiej.

Tam był nasz dom i olszyny,
Cerkiewka stara i młyny,
I bzy w liliowej poświecie,
O których pieśni mówiły,
Że najpiękniejsze są w świecie, —
Bo były.

Można mnie stamtąd wyrzucić,
Można mi kazać nie wrócić,
Można mnie z żywych wymazać,
Wygnać, przepędzić za płoty,
Ale jak można zakazać
Tęsknoty?

Tam — tajemnicze moczary,
I cmentarz, przy nim dąb stary,
I napoleoński gościniec,
Zarosły czasu wikliną,
Mówiono o nim, że płynie,
Bo płynął...

Nie martwy księżyc tam wraca,
To cień mój wodę ozłaca,
Nie woda w młynie tam szumi,
To żal mój śpiewa, jak umie
I woła gorzką pociechą,
Jak echo.

Poeci przeszli tamtędy,
Zmieniali ziemię w legendy,
Gdzie spojrzeć, tam wschodzą słowa,
Gdzie dotknąć, tam harfa jęknie.
O moja ziemia widmowa,
Śnij pięknie.

I płynę, płynę po nocy
Do ciebie, kraju uroczy,
Tam chmurki drżały z czułością,
A wiatr kołysał bezpiecznie, —
O kraju mój, tyś mą miłością
Wiecznie.

TEL-AVIV OCZYMA TOPOLSKIEGO



ULICA



KUPCY



RZEMIEŚLNICY W BARZE

„MADAME CURIE“

W ubiegłym miesiącu odbyła się w New-Yorku premiera filmu „Madame Curie“, zrealizowanego według biografii znakomitej uczoniej, napisanej przez jej córkę, Ewę Curie. Scenariusz opracowali: Paul Osborne i Paul H. Rameau, reżyserował — Mervyn Le Roy. Główną rolę powierzono świetnej odtwórczyni „Mrs. Miniver“ i Pauli z „Random Harvest“ — Greer Garson. Piotra Curie gra Walter Pidgeon, partner Greer Garson z „Mrs. Miniver“ i odtwórca roli pastora w „How Green Was My Valley“.

Greer Garson jest Irlandką. Po studiach na uniwersytecie londyńskim wstąpiła na scenę, zyskując dużą pozycję w angielskim teatrze dramatycznym, zanim stała się jedną z pierwszych dziś gwiazd Hollywoodu. Walter Pidgeon również był aktorem dramatycznym, zanim w r. 1930 rozpoczął swą karierę filmową. Osobliwością filmu są zdjęcia z pracowni fizycznej małżeństwa Curie i oddanie chwili, gdy para uczonych zauważyła promieniowanie radu, stanowiące nowość techniczną w dziedzinie kinematografii. Krytyk „New-York Post“ — Ardier Winster przyjmuje film w

superlatywach, pisząc, że widzi w nim „hołd, złożony wiedzy i duchowi nauki, oraz dzieło głęboko ludzkie i wzruszające“.

Film o Marii Curie-Skłodowskiej jest niewątpliwie dobrą propagandą na rzecz Polski i przypomina, ile polskich tematów, mogących zainteresować i porwać publiczność filmową całego świata, leży ciągle odłogiem. Wystarczy wspomnieć o nieśmiertelnej scenie dyskusji profesorów, umierających w Oranienburgu, o Januszu Korczaku, o obronie ghetta, o kubańczykach, o epopei „Orla“, walkach brygady Karpackiej i brygady Podhalańskiej.

Autorka słynnej biografii M. Skłodowskiej, o której jeden z krytyków amerykańskich wyraził się, iż uważa ją za najlepsze „vie romancée“. — Ewa Curie, po wydaniu swej ostatniej książki „Journey among the warriors“, wstąpiła do francuskiej kobiecej służby wojskowej w Anglii. Postanowiła ona służyć jako zwykła ochotniczka w armii de Gaulle'a. W tym geście pisarki, będącej jedną z najwybitniejszych reporterek świata, nie trudno znaleźć odbicie pełnego samozaparcia i skromności charakteru jej wielkiej matki.

zb.

FAKTY I KOMENTARZE

Ameryka, ropa i Europa

Dyskusja amerykańska w sprawie ropy saudyjskiej przybiera akcenty zasadniczej rozgrywki i kto wie, czy nie stanie się jednym z kluczowych konfliktów w niedalekiej już kampanii wyborczej.

Harold Ickes w publicznej dyskusji przed mikrofonami radiowymi oświadczył, że za projektem budowy rurociągu wypowiedział się kombinowany sztab generalny armii i marynarki, to znaczy osoby, „odpowiedzialne za przyszłość naszego kraju w razie nowej wojny”. Poczem ciągnął: „Jeśli z powodu obrony tego projektu nazwą mnie socjalistą, komunistą lub nazistą..., niech tam, przyjmę epitet”. Mocne słowa. Zanim zajmemy się ich treścią, najpierw nieco faktów. Czy ropy może zabraknąć? Na dorocznym posiedzeniu Instytutu Naftowego U.S.A. powołano się na opinię geologa W. Prattę ze Standard Oil Company, który ocenia światowe zapasy na 700 miliardów baryli, a więc wystarczające na potrzeby kilkuset lat. Inny mówca podkreślił, że dalsze miliardy baryli wydobywać można z węgla.

Mimo to faktem jest, że obecna eksploatacja ropy nie jest prawidłowa. W U.S.A. utrudniono wydobycie z wielu szybów przez lekkomyślne i marnotrawne użytkowanie gazu ziemnego. Pozbawiono przez to pokłady ropy ciśnienia, pozwalającego na samoczynny wytrysk. Zaś w Zatoce Perskiej, jak się dowiadujemy z pismennego sprawozdania, złożonego Kongresowi przez Roosevelta, w skutek braku zbiorników wielkie ilości ropy w Abadanie są poprostu wylane.

Czy może zaradzić temu budowa rurociągu długości 2.000 — 2.500 km. z wylotem w porcie śródziemnomorskim?

Amerykańscy przeciwnicy projektu twierdzą, że zyska na tym tylko koncern stalowy, bo z portu wylotowego trzeba będzie w dalszym ciągu przewozić ropę statkami-cysternami, tak samo jak to dzieje się teraz, i ewentualne skrócenie drogi morskiej nigdy nie zamortyzuje kosztów budowy rurociągu. Skrajni przeciwnicy twierdzą nawet, że w ogóle angażowanie się Ameryki w sprawę ropy saudyjskiej jest szkodliwe dla rodzimego przemysłu naftowego.

Widzimy stąd, że w sprawie rozstrzygnięcia projektu Ickesa są zaangażowani nacierze, stalownicy, wielkie linie okrętowe. Dodajmy jeszcze do tego elektryków. Bo gdyby rzeczywiście — jak straszą pesymiści — w U.S.A. zabrakło wkrótce ropy i gdyby musiano przystąpić do produkcji syntetycznej, wzmogłyby się zarobki przemysłu elektrycznego. Podczas gdy przy rafinacji tonny ropy zużywa się zaledwie kilkanaście kilowatogodzin, to dla otrzymania tonny benzyny syntetycznej potrzeba 3.000 kilowatogodzin.

Jak rzeczywiście stoi sprawa ze światowymi запасami nafty, to dla przeciętnego homo sapiens jest sprawą ciemną. Autor tych słów, mieszkając przez dłuższy czas w zagłębiu naftowym, miał sposobność przekonać się, jak sprzeczne są między sobą opinie nawet uczciwych geologów. Co dopiero, jeśli dodać, że do zaciemnienia obrazu, i tak już

niewyraźnego, przyczyniają się machinacje zainteresowanych spekulantów.

Pozostaje więc zanalizować nie czysto techniczne, lecz społeczne reperkusje zagadnienia. Najpierw dla Europy. Powstanie wylotu nowego rurociągu na morzu Śródziemnym może po wojnie odegrać dla Europy rolę bardzo korzystną, gdyż kontynent europejski będzie się względem tego wylotu znajdował w położeniu uprzywilejowanego konsumenta. Niezależnie od zapasów ropy rumuńskiej i polskiej istnieją podobno duże, nie zużytkowane dotąd zapasy w Turcji, a nawet w Palestynie. Groźba powstania rurociągu będzie bodźcem dla ich gospodarzy. Poza tym rurociąg uwolnił może powojenną Europę od monopolistycznego nacisku ze strony dysponentów ropy kaukaskiej, jeśli by wewnętrzne zasoby ropy na kontynencie uległy wyczerpaniu. Europa może się więc tylko cieszyć, jeśli projekt zostanie doprowadzony do skutku.

Również dla stosunków wewnętrznych U. S. A. w czasie pokoju rozporządzanie rezerwowym zapasem źródeł energii ma doniosłe znaczenie, gdyż umożliwiła planowanie, niezależniące ogół konsumentów od dyktanda monopolistycznych dysponentów.

Wreszcie dla ogółu mieszkańców ziemi imperialistyczny kierunek projektów amerykańskich ma swoje znaczenie. Stoimy tu wobec zwrotnego momentu w dziejach U. S. A. Nigdy jeszcze światoburstwo z ich strony nie ujawniło tak wyraźnego oblicza. Nie nam nie szkodzi sama światoburstwość. Lepiej już jeśli kierownictwo to będzie centralizować naród amerykański, niż kto inny. Ale chodzi o to, jaki będzie charakter i barwa tego światoburstwa. Czy mimo pysznych hasel okaże się on w realizacji mądrzejszy od światoburczych planów Aleksandra Wielkiego, którego wielka wyprawa praktycznie zakończyła się tylko przywłaszczeniem złota na Wschodzie?

Rurociąg, o którym mowa, ma przebiegać około Kanału Sueskiego. Budowa Kanału była imprezą prywatno-kapitalistyczną, ale przecież na swe czasy nosiła ona znamiona bardziej progresywne niż dotychczasowe zapowiedzi rurociągu. Kanał Suezki był bowiem de nomine imprezą międzynarodową i służącą ogólnemu dobru (w zamian za haracz, płacony w złocie właścicielom), zaś rurociąg ma być przedsiębiorstwem amerykańskim, choć i bez tego U. S. A. przed wojną produkowały ponad 60 procent, a wraz z innymi krajami tamtej półkuli — około trzech czwartych ropy światowej.

Tego rodzaju zamiarów nie można uznać za zdrowe. Najuczciwszym rozwiązaniem byłoby oddanie nowych zasobów do użytku międzynarodowego jako zawiązek dla wyrównania niesprawiedliwości między narodami na tle przypadkowego dotychczasowego ich uposażenia lub ubóstwa.

Może administracją tej ropy zajęłaby się UNRRA, a może światowy Międzynarodowy Kongres Pracy, który w kwietniu odbędzie się w Filadelfii, wysunie inny projekt organizacji tego doniosłego zagadnienia.

Japonia — ZSRR

Dziwaczna pozycja, jaką zajmują Japonia i ZSRR w swych stosunkach wzajemnych wobec Sprzymierzonych z jednej, a Niemiec z drugiej strony, nie raz już nastrożają sporo drażliwych sytuacji. Zarówno dla ZSRR, jak i dla Japonii utrzymanie chwiejnej równowagi neutralności jest rzeczą i niełatwą, i kłopotliwą. Bądź co bądź, Japonię formalnie nadal obowiązuje „pakt antykominternowski” z 25 listopada 1935 r. Prawda, że deklaracja o neutralności z 7 września 1939 r. Japonia odgrodziła się od konfliktu w Europie, ale po to tylko, by w rok później w pakcie berlińskim z 27 września 1940 r. przyznać tę Europę jako Lebensraum „nowemu łańdowi” niemieckim, sobie — za przyzwoleniem Niemiec — rezerwując „przewodnictwo... w dziele stworzenia nowego ładu w wielkim obszarze wschodnio-azjatyckim”. W r. 1940, kiedy ta Europa leżała na zachód od „linii Ribbentropa”, a ZSRR oficjalnie odgraniczał się od konfliktów, w tym obszarze zachodzących, pozycja Japonii nie mogła na Kremlu wywoływać poważniejszych zastrzeżeń, tym bardziej, że na zapalnej granicy mongolsko-mandżurskiej właśnie 9 czerwca tegoż roku nastąpiła demarkacja, kładąca kres konfliktom sowiecko-japońskim w Azji Wschodniej. Ale w rok później, kiedy 25 listopada Japonia prolonowała pakt antykominternowski, kiedy 11 grudnia proklamowała nowy sojusz z Niemcami i Włochami, „Europa” niemiecka przekroczyła linię Ribbentropa i jej forpocztę sięgały przedmieście Moskwy i Leningradu, a dalekie forpocztę „tamtej” Europy stały się nagle bazą sprzymierzeńczą Sowietów. Prawda, japońsko-sowiecki moskiewski pakt o neutralności, można było interpretować jako gwarancję wzajemnego zabezpieczenia flanków. Nie mniej jednak stara linia antykominternowska Japonii z jednej, polityczna wolta ZSRR z drugiej strony usprawiedliwiają dużą nerwowość obu oficjalnie chłodno-neutralnych dyplomacji. Przykładem tej nerwowości służyć może np. niedawne zaniepokojenie Tokio, kiedy znów zaczęto mówić o konieczności udzielenia przez ZSRR baz dla lotnictwa amerykańskiego. Z drugiej strony zrozumiałe się staje obu-

zenie kół nieistniejącego Kominternu na linię polityczną Kuomintangu, mającą na celu intensyfikację ofensywy Sprzymierzonych na Pacyfiku. „Wojna i raboczej kłass” (nr. 1 z dn. 1 stycznia br.) dochodzi w swym oburzeniu do oskarżenia czungkińskiego dziennika „Szanzubao”, że „wyraźnie śpiewa niemieckie piosenki na melodię chińską”.

Czemuż jednak postulat wzmocnienia frontu przeciw Japonii, choćby za cenę chwilowego zahamowania ofensywy w Europie (jak tego żąda wspomniane pismo), ma być zdradą sprawy Chin i Sprzymierzonych? Czyżby to Japonia była sprzymierzeńcem Sprzymierzonych? Odpowiedź daje nam zamieszczony w tymże numerze obszerny artykuł E. Żukowa p. t.: „Japońsko-niemieckie stosunki w drugiej wojnie światowej”. Rzecz charakterystyczna, że autor, choć z załem wyrzucając Japonii, iż „poddawała się niebezpiecznemu złudzeniu o militarnej niedosięgalności Niemiec”, z uznaniem podkreśla jej „przezorność polityczną”. Na czym ona polega? Czytając autora sowieckiego, odnosimy wrażenie, że w gruncie rzeczy Japonia stoi w przededniu wojny z Niemcami. Drogi Japonii — wywodzi „Wojna i raboczej kłass” — stale i zawsze krzyżowały się z imperializmem niemieckim — czy to w Chinach, czy też na morzach Południowych. Starec obu mocarstw w pierwszej wojnie światowej nie było dziełem przypadku. W okresie drugiej wojny światowej rozgraniczenie stref zainteresowań paktem berlińskim z 27 września 1940 r. nie przeszkodziło Niemcom rozciągać swej sieci na zastrzeżone dla Japonii Indie i Sjam (jak też — dodajmy od siebie — nie przeszkodziło Japonii sięgać do Afganistanu i Persji, które Niemcy za teren swojej ekspansji uważają).

A więc antagonizm japońsko-niemiecki? Ale przecież istnieje drugi jeszcze antagonizm, który co 10 lat wybucha na kontynencie azjatyckim płomieniem starć zbrojnych — wojny 1904-5, interwencji syberyjskiej 1918-1922, walk nad jeziorem Chasan i nad Chałchyn-Goł (1938-1939), antagonizm, który jest jednym z motywów przewodnich słynnego „memoriału Tanaki” z r. 1927. Żukow likwi-

duje ten antagonizm jedną genialną diagnozą: intrzyga niemiecka. To Niemcy na przełomie XIX i XX wieku szczuli Rosję na Japonię, by uwiklać ją na Dalekim Wschodzie, spaliżować ją w Europie i na Bliskim Wschodzie. To Niemcy szczuli Japonię na Rosję, by na Dalekim Wschodzie stworzyć przeciwagę wobec Rosji w Europie. I Niemcy też grają na „nieodpowiedzialnych, awanturniczych elementach, które już nieraz stwarzały napięcie w stosunkach japońsko-sowieckich” (jak eufemistycznie zwie Żukow dwie wojny sowiecko-japońskie). I właśnie druga wojna światowa wyzwoliła Japonię spod zgubnych wpływów niemieckich. „Obiakanie plany hitlerowskie o ustanowieniu światowego władztwa Niemiec nie mogły się spotkać z uznaniem w Tokio”. Japonia zrywa z Niemcami, „dąży do własnych celów i, widać, nie zamierza uzgodnić swych prac wschodnio-europejskich ze strategicznymi planami Hitlera”. Więcej — Japonia obalila „rachunki hitlerowskich podżegaczy wojennych”, zawierając pakt moskiewski, „odpowiadający zasadniczym interesom i Japonii, i Związku Sowieckiego”.

Mali naśladowcy wielkich wezyrów

Hitler konsoliduje swe pozycje na Węgrzech, w Rumunii, Słowacji i Bułgarii. Kolejno są wzywani quislingowscy kacykowie, aby kwitować odbiór nowych rozkazów Fuehrera. Idzie czystka w „twierdzy europejskiej”, likwidacja nowoczesnych wallenrodów, wyczekujących desantu, aby w ostatniej chwili z kolaboracji przejść do darlanizmu, a jeśli los będzie łaskawy — wstąpić na szlaki marszałka Badoglio, uznanego nawet przez Moskwę. W tej samej chwili, gdy w Algierze pluton egzekucyjny Francji Walczącej tracił byłego ministra marszałka Pétain'a.

Na miejsce niepewnych przywołuje się zaufanych, gotowych pójść z Hitlerem do końca.

Do końca... Wszak już zostało nie długo. I tu się zaczyna zagadka psychologiczna. Na co liczą ci ludzie, wsiadający do pociągu, który zmierza prosto do Treblinki odpowiedzialności zbrodniarzy wojennych? Czyżby byli Cyganami, którzy dla towarzysystwa dają się wieszać? Ale przecież oprócz Rumuna Antonescu — widzimy również śpieszących do szubienicy nowych quislingów Węgier, Słowacji i Bułgarii...

H. Van Loon

Depesze przyniosły wiadomość o śmierci znanego pisarza, Henryka Van Loon'a. Holender z pochodzenia, opuścił Van Loon Europę już jako młody chłopiec i spędził całe swe życie w Stanach Zjednoczonych.

Tajemnica wyjątkowego nastroju książek Van Loon'a leży przede wszystkim w jego osobistym, subiektywnym podejściu do tematu. Nie oznacza to bynajmniej braku szerszego spojrzenia. Ale jednak motorem jego twórczości jest nie chłódna, naukowa ciekawość, lecz pasja i umiłowanie poruszanych tematów — umiłowanie, które stara się zaszczerpić czytelnikowi.

Van Loon umiał nawiązać tak bezpośredni kontakt z czytelnikami, że ulegał im wprost złudzeniu, że nie książkę się czyta, lecz listy od kogoś bliskiego. I dlatego śmierć jego stanowi dla większości jego czytelników utratę osobistego przyjaciela.

Książki Van Loon'a spełniają idealnie warunki, jakie stawiamy literaturze popularyzatorskiej. Nie są to suche podręczniki, dają natomiast jak najszerzą, syntetyczną podstawę dalszych studiów i, co więcej, zachęcają czytelnika do dalszego pogłębienia poruszanych zagadnień. Piszę on stylem tak prostym i jasnym, że książki jego są dostępne dla wszystkich, a równocześnie przez swą wnikliwość, świeżość i odwagę wypowiadanych myśli — są fascynujące nawet dla czytelników, obeznych gruntownie z tematem.

Van Loon nigdy nie kryje się za ścianą sztucznego obiektywizmu tam, gdzie może wypowiedzieć własne zdanie i wyrazić osobiste upodobania. Ocena całych okresów historii lub sztuki, czy też poszczególnych jej przejawów, poddana jest przecież zawsze „fluktuacjom, czasem poprostu — modzie. Co kilkanaście lat „odkrywamy” na nowo Egipt czy Grecję, stawiamy i zrzucaamy z piedestału raz Rafaela, innym razem Tycjana. Tylko że na ogół krytycy i historycy wypowiadają te zmienne sądy pod płaszczykiem nieomylnych, obiektywnych kryteriów. Van Loon poprostu uprzedza: „O Rzymie napiszę mało, bo Rzymianie i ich historia byli dla mnie zawsze nudni i nieciekawi”. Albo, pisząc o Gauguinie, przyznaje: „Może dlatego go nie doceniam, że za dużo wiem o nim. Co prawda znam także niski charakter Wagnera, a jednak Kocham jego muzykę. Musi więc być jakiś inny powód mojej niechęci do Gauguina, ale ponieważ przyczyny takie przeważnie zakopane są głęboko w podświadomości, nie będę nawet uświatlił ich odgrzebywać”.

Wszechstronność Van Loon'a jest na pierwszy rzut oka niepokojąca: dorobek jego obejmuje książki o sztuce, historii, geografii, żegludze, życiorysy malarzy i muzyków — ależ to za dużo, aby mogło być dobre. Ale po bliższym wejrzeniu widzimy, że opracowane przez niego zagadnienia związane są w jedną całość. Wszystko to jest historią kultury ludzkiej, przyczyn, jakie ją formowały, i rezultatów do jakich doszła. W przedmowie do swej „Historii sztuki” („Arts of Mankind”) —

Jakim to zasadniczym interesem? Czy — jeśli chodzi o Rosję — mamy wnioskować z przytoczonej analizy położenia na przełomie XIX i XX-go? A jeśli chodzi o Japonię, czy mamy wnioskować z innych rewelacji Żukowa, rewelacji, które jeszcze niedawno z pewnością byłyby podciągnięte przez prokuraturę sowiecką pod artykuł 58 kodeksu karnego? Bo oto co mówi Żukow o pakcie anty-kominternowskim: „Nie będąc formalnie skierowanym ani przeciw Anglii, ani przeciw USA, ani też przeciw Chinom, układ ten był obliczony na to, by grać na nastrojach i przesądach antysowieckich w różnych krajach, uspić czujność niektórych mocarstw demokratycznych i tym samym odciągnąć uwagę od intensywnych przygotowań agresorów do wojny właśnie przeciw tym państwom”.

Tyle Żukow. Jeśli przetłumaczyć to wszystko na język zamierzeń, to z wywodów tych wyczytać możemy: w obecnym stadium wojny ZSRR i Japonia nie mają interesów przeciwnych i póki Japonia ogranicza się do działań w sferze dotychczasowej swej ekspansji, ZSRR nie wyjdzie poza granice neutralności.

Mali naśladowcy wielkich wezyrów

Heine pisze w swych „Angielskich fragmentach” (1828), że gdy był młody i czytał o tym, że w Turcji jeden po drugim ginęli, duszeni cienkim, jedwabnym sznurem, wielcy wezyrowie — dziwił się mocno, że po „uduszeniu starego wezyra stale znajdował się ktoś mający ochotę zostać wezyrem”.

„Teraz, gdy jestem nieco starszy i zajmuję się więcej Anglikami, niż ich przyjaciółmi — Turkami, ogarnia mnie analogiczne zdziwienie, widząc jak po dymisji angielskiego premiera jego miejsce natychmiast stara się zająć inny, i ten inny — to zawsze człowiek, mający możliwość dobrego przeżycia i bez tej posady, i przy tym (wyłączając Wellingtona) wcale nie duren”.

Trudno pisać o rozumie czy głupocie nowej zgrai władców, których Hitler porządkował na karkach ujarzmionych narodów. Ale jedno jest pewne: nie czeka ich dymisja angielskich premierów. Powrót szubienicy nie będzie przyjemniejszy od jedwabnych sznurów, którymi duszono tureckich wezyrów.

pisze: „Fakty, które wspominam, są znane od dawna i można je znaleźć w niezliczonych księgach, poświęconych architekturze, muzyce i malarstwu. Zebrałem je razem jedynie dlatego, aby dać czytelnikowi poczucie uniwersalizmu, jakie leży u podłoża wszystkich gałęzi sztuki”. Odnosi się to nie tylko do sztuki. Van Loon szuka i znajduje uniwersalizm i wspólną głębię wszelkich przejawów ducha ludzkiego.

Najlepiej stosunek Van Loon'a do życia charakteryzuje „Wyzwolenie ludzkości” („Liberation of Mankind”) — historia świata, ujęta pod kątem tolerancji, którą Van Loon uważa za kamień probierczy i najwyższe dobro kultury. Naturalnym wynikiem takiej właśnie postawy życiowej jest jego głęboka niechęć (trudno w stosunku do Van Loona użyć słowa nienawiść) do wszelkich odcieni faszyzmu i totalizmu. Niechęć tak silna, że na początku wojny wbrew swemu zwyczajowi chwycił za pióro w sprawie aktualnej. W formie fikcyjnego pamiętnika opisał bardzo realistycznie utopijną inwazję niemiecką Stanów Zjednoczonych — ostrzeżenie neutralnej jeszcze wówczas Ameryki, aby nie liczyła na swą „splendid isolation”...

Wszystkie prawie książki Van Loon'a są przez niego samego ilustrowane. We wstępie do „Historii ludzkości” przeprasza on czytelników za niezbyt udolne rysunki, tłumacząc się, że wolał sam rysować, bo trudnoby mu było nieraz „wyjaśniać fachowemu rysownikowi, o co mu właściwie chodzi”. Rysunki Van Loon'a rzeczywiście dalekie są od formalnej doskonałości. Można by im zarzucić efekciarstwo, łatwiznę i inne grzechy wobec czystej Sztuki. Ale spełniają one swe zadanie lepiej, niżby to mogli uczynić najdoskonalsze nawet w formie ilustracje zawodowych rysowników: stanowią nierozdzielalną całość z tekstem i ilustrowają znakomicie najbardziej nieraz abstrakcyjne myśli autora. Rysunki Van Loon'a są doskonałym odpowiednikiem jego stylu: są proste, sugestywne, lekkie i pełne humoru. W jednej zaś dziedzinie jest on rzeczywiście doskonały: w rysunkach żaglowców, łodzi i morza. Ilustracje „Historii Pacyfiku” i „Żegluga po siedmiu morzach” są niezrównane w swej lekkości i niebawym wyczuciu i zrozumieniu tematu. Czyżby to były wspomnienia z Holandii, w której spędził dzieciństwo, jej portów pełnych statków, jej rzek, po których sunęły łodzie ze wzdętymi żaglami?

Wiadomości swoje czerpał Van Loon nie tylko z dzieł naukowych, ale i z własnych doświadczeń. Był nie tylko konsumentem sztuki — do jej tajników starał się dotrzeć przez uprawianie prawie wszystkich jej gałęzi: był skrzypkiem, grał wiele lat w orkiestrze, dużo szkicował z natury, zajmował się medycyną, uprawianiem prawie każdego rodzaju „hobbies” uważał za najlepszą drogę zrozumienia i zbliżenia się do źródeł sztuki i miał nadzieję, że choćby części swych czytelników zdoła zaszczerpić te swoje zamiłowania.

PAULINA APENSZLAK

FRANCJA — KOCHANKA NIEWIERNIA

Lion Feuchtwanger: „The Devil in France”. Somerset Maugham: „Strictly Personal”. Arthur Koestler: „Scum of the Earth”.

„Jeśli zapomnę Ciebie, o Montmartre...” — takim fanatycznym ogniem przywiązania płonęło serce intelektualnej Europy przez przeszło dwa wieki do Mekki natchnienia, do Jeruzalem sztuki, do „ville-lumière” i do kraju — drugiej ojczyzny, nie tylko wygnańców, uchodźców, prześladowanych heroldów wolnej myśli, ale każdego obywatela świata, miłującego doskonałe formy kultury.

I dlatego może katastrofa światowa, w przebiegu swym hartująca nerwy, ucząca łatwiej znosić masowe, żywiołowe, fizyczne uderzenia przy pewnej stabilizacji duchowej, okazała się najgroźniejsza w momencie kapitulacji Francji.

W Polsce, prawem tradycji wielowiekowej, idealizowało się zawsze Francję ponad miarę. Generację za generacją wychowywano w duchu uwielbienia dla Francji i nawet na prawdę historyczną dyktaturę napoleońską zamykano oczy, kierując się tym samym uczuciem, jakim kieruje się młoda kobieta, zaślepiona miłością i usiłująca ukryć przestępstwa swego kochanka.

Trzy czwarte Polscy rozumieli i podzielało to słabość do Francji. W głębokim ukłonie, jaki przesyłało wielu krajów, dalekiej „siostrzycy”, nie było nic ze snobizmu (przywilej angielski), a dużo z ośnienia, szacunku, wiary i miłości. Jakżeśmy ją kochali wszyscy, poprzez wykłady Mickiewicza w Sorbonie, przez nokturny z Nohant, przez wspomnienia pani Curie aż do „Piątki” Chanel, w której zaklęta była cała słodycz i subtelność aury francuskiej.

Zwyro stoją mi jeszcze w pamięci ostatnie obrazy „słodkiej Francji”, wycarowane przez natchnione pióro Wittlina na nieomal 24 godziny przed wybuchem wojny. Wittlin spędził lato w klasztorze francuskim na głębokiej prowincji, w opactwie średniowiecznym, gdzie znajdowali goście pisarze i intelektualiści z całego świata. Z pióra autora spływały najjaśniejsze barwy, jakie zna Południe i wyobraźnia poety, życie płynęło w zakątnym ogrodzie rajska, na pograniczu rzeczywistości. Nikt, tak mi się wydaje, nie dostrzegł węża w tym rajskim ogrodzie, nikt nie śmiał zajrzeć za kuliszy. Nawet naważnica wojenna, aczkolwiek przyniosła dużo rozczarowań Polakom we Francji, jednak nie otworzyła dostatecznie oczu pisarzom na prawdę francuską. Ból rozstania, melancholia i czasem zdziwienie rozbrzmiewają w szkicach „Kluczy” Kuncewiczowej, w „Epilogu parskim” Balińskiego, w wierszach Słonimskiego i Wierzyńskiego.

Może szczęśliwie się stało, że, ranionym tak boleśnie przez los, zaoszczędzono tego ostatniego ciosu, jaki spotkał pisarzy emigracji starszej niż wojenna, ciosu, który pozwolił przetrwać tylko nielicznym. „Wiem, że nie jest ważne, jak i kiedy człowiek umiera; zabity przez swych nieprzyjaciół, czy zmuszony przez swych przyjaciół do popełnienia samobójstwa” — pisze z gorczyca Arthur Koestler w „Scum of the Earth”, wstrząsającej relacji z ostatnich dni Francji, w jednej z najlepszych książek, jakie ukazały się z serii: „Rozczarowań francuskich”. A musiało to rozczarowanie być bardzo głębokie, skoro wywołało istną powódź książek tego rodzaju. Składają się na nie: szkice polityczne, socjologiczne, reportaże, pamiętniki i t. p. Spośród wielu, wspomnę o najpopularniejszych: Feuchtwangera „The Devil in France” i Maughama „Strictly Personal”. Obie bez większej wartości literackiej i dokumentarnej nawet, są żywym odbiciem opinii, jaką sobie wyrobili ci dwaj pisarze. Maugham, wygnany ze swego pałacyku na Rivierze, lekko i zajmująco opowiada o swej wędrówce wojennej. Jak przystało na rasowego Anglika, nie wyolbrzymia osobistych niewygód i przykrości, ale z poczuciem owego typowego angielskiego bezpieczeństwa, traktuje nieco błażo swoją eskapadę i wraz z nią zbliżającą się naważnicę. Natomiast Feuchtwanger jest zdecydowanie niesympatyczny w starym podkreśleniu osobistej krzywdy, jaka go spotkała ze strony władz francuskich, gdy został wraz z tysiącami innych emigrantów z Europy Centralnej internowany w obozie. Książka jego jest drobniawa i dokładna, zanadto może dokładna w opisywaniu każdej przykrości, jaką znosił: odnosi się wrażenie, że „casus Feuchtwanger” jest doprawdy największym nieszczęściem obecnej wojny. Ten brak skromności w obliczu katastrofy dziejowej jest u pisarza — historyka specjalnie godny napiętnowania, podkreśliła to w swoich recenzjach o jego książce prasa angielska i amerykańska.

O klasę wyżej stoi relacja Koestlera — w temacie analogiczna, lecz podejmująca zagadnienie tragedii całej gromady emigrantów środkowo-europejskich, pierwszych ofiar reżimu nazistowskiego, ludzi, którzy, doczekawszy się nareszcie generalnej rozprawy z wrogiem, zamiast kroćcy w szeregiach pierwszych żołnierzy przeciw Hitlerowi, zostali — o krwawa ironia i krwawa biurokracja! — zamknięci w straszliwych obozach koncentracyjnych i poddani wszystkim mękom ciała i duszy, jakie zna wyobraźnia ludzka.

„Przed kilku laty nazywano nas ob-

rońcami wolności — teraz staliśmy się „odpadkami” — mówi Koestler w sprawozdaniu, które po wojaie wywoływać będzie szkarłat wstydu na twarzach Francuzów.

Opowieść ta jest bardziej przynębiająca od relacji i opisów okrucieństw, popełnianych przez zorganizowane bandy Gestapowców i SSmanów, bo przecież niczego innego nie można się było po nich spodziewać, gdyż postępowali zgodnie ze swą ideologią i wychowaniem, jakie otrzymali. Ale kiedy dłoń przyjaciela przykładła łufę do skroni, kiedy podany chleb zawiera truciznę, kiedy w Paryżu, we Francji...

Koestler jest z pochodzenia Węgrem. Wojna zastała go na Rivierze, gdzie wraz ze swą przyjaciółką, Angielką, spędzał ostatnie, słoneczne chwile ginącej Europy, zajętej opracowywaniem książki. Jego dwie ostatnie prace: „Testament hiszpański” i „Gladiatorzy”, przyniosły mu dużo rozgłosu na obu kontynentach. Brał czynny udział w wojnie hiszpańskiej, podobnie jak Hemmingway i tylu innych pisarzy. Zwolennik komunizmu, na dwa lata przed wojną, rozczarowany przebiegiem wypadków w Rosji i taktyką Kominternu, wystąpił z partii i schronił się w Paryżu, czekając tu, wraz z innymi bojownikami wolności, aż spłynie światło Demokracji na brązową i czerwoną Europę. Wraz z tysiącem innych został niespodziewanie w pierwszych dniach wojny internowany i zamknięty w jednym z tych straszliwych obozów francuskich dla cudzoziemców, których surowego reżimu nikt nigdy nie usprawiedliwił i nie wytłumaczył. Prasa rozpoczęła nagonkę na internowanych. Nazwano ich „odpadkami”, „wyrzutkami” — tych, wśród których byli przedstawiciele elity intelektualnej centralnej Europy. W obozie wraz z Koestlerem siedzieli: Walter Benjamin, Carl Einstein, Walter Hasenclever, Irmgard Keun, Otto Pohl, Ernst Weisst — czołowe postacie niemieckiej myśli i sztuki. Nie przeżyli rozczarowania. Popełnili samobójstwo. Nie to, że kazano profesorom i pisarzom czyścić ubikacje gołymi rękoma, nie to, że oficer francuski był szpicratą po twarzy założyciela Partii Social-Demokratycznej, nie to, że głodzono i gwałcono kobiety, żony doktorów w obozie w Gurs, nie ten cały program codzienny wszystkich obozów koncentracyjnych, od bieguna do bieguna, jest straszny, bo zawsze można go wytłumaczyć sadyzmem dozorców więziennych, ale fakt, że mając możność wypuszczenia na wolność niewinnych emigrantów lub zaangażowanych wrogów nazizmu, a wypróbowanych przyjaciół Francji, rząd francuski, a potem kolejno urzędy francuskie, z zimną krwią wydawały ich w ręce Gestapo — jest koszmarną rzeczywistością wojennej. „Większość zginęła — nimi zajmuje się książka. Od tej straszliwej prawdy nie ma ucieczki”.

Koestler wyostał się z obozu. Jak wielu innych „polski arystokrata i żydowski domokrąca, niemiecki kafista i francuski patriota, katolicki ksiądz i robotnik-komunist”, maszerowali wzdłuż całej Francji, wśród świata, zapadającego się w niełość, wśród chaosu i ciemności. Czasami wydaje się, że Koestler znalazł się w atmosferze ginącej Sodomy i Gomory, gdy w mundurze żołnierza Legionu Cudzoziemskiego (do Legionu zapisał się w dzień zawieszenia broni), wędruje po kraju, gdzie niezapowietzone zandarmy, gżupota prowincjonalnych kacyków i bezczynność ministrów napawają go przerażeniem, ale nastroje ludności, bezgraniczny egoizm mieszczuchów, oficerowie, identyfikujący swe poglądy z poglądami „Action Française”, zwalanie winy za wybuch wojny na Żydów, kompletny brak orientacji i poczucia odpowiedzialności, tłumaczą nie tylko klęskę militarną, nie tylko oboz współpracy Vichy, ale tę współpracę, jaka istnieje obecnie.

Madame Suchet, właścicielka mleczarni na Rue Vaugirard, wierna czytelniczka „Petit Parisien”, „Paris Soir”, „Excelsiora”, nie należąca ani do prawicy ani do lewicy, za truta fałszywymi wiadomościami o słabości Niemiec i przekonana, że nie ma siły, która zładzie Linię Maginota, oświadcza: „Chcieliśmy pomóc Polsce, lecz skoro Hitler ją zdobył — wojna już nas nie obchodzi”. Jest to typowa przedstawicielka tego ciasnego, cynicznego i egoistycznego poglądu na świat, który uważa, że wojna z Niemcami nie jest wojną o wolność i cywilizację, tylko o zdobycie Gdańska. „Jest 20 milionów panów i pań Suchet i już za późno jest zmieniać ich poglądy na szczęście, honor, ofiarę i śmierć. Po przeżyciu pewnego rodzaju Schadenfreude w okresie bombardowania Londynu (niech oni też poznają wojnę!), Francuz doszedł jednak do wniosku — konstatuje dalej Koestler — że wygranie wojny przez Anglię leży w jego interesie. Od stwierdzenia tego faktu do czynnej akcji pozytywnej droga jest daleka — bądź co bądź zaszała zmiana w psychologicznym nastawieniu mas.

Książka Koestlera w sposób bardziej prosty i plastyczny, niż szereg prac politycznych, odpowiada na nekające nas pytanie — dlaczego Francja zdradziła? Nie uczy nas i nie wyjaśnia, porusza raczej emocjonalnie, odtwarzając koszmarny obraz kapitulacji gorszej, niż każda kapitulacja militarna: głębokiej deprawacji moralnej.

Z PRASY OBCEJ

Dominia i republiki

Londyński „The Economist” w numerze z dn. 5 lutego pisze:

„Dwie mowy, wygłoszone w odstępach 24 godzin, jedna w Ottawie i druga w Moskwie, wysunęły problem najlepszego sposobu specjalnego ugrupowania poszczególnych państw, któreby mieściło się w ramach szerszej akcji międzynarodowej, jaka zostanie rozwinięta po wojnie. W Ottawie premier kanadyjski odrzucił ostatnie propozycje lorda Halifaxa i gen. Smutsa, zmierzające do dalszego ujednolicenia polityk zagranicznych państw Brytyjskiej Wspólnoty Narodów z ewentualnym rozciągnięciem tej praktyki na małe państwa demokratyczne Skandynawii i na Belgię oraz Holandię. W Moskwie p. Mołotow zaproponował, aby każda z szesnastu wchodzących w skład ZSRR republik miała swoje komisariaty obrony i spraw zagranicznych oraz prawo posiadania oddzielnych przedstawicielstw dyplomatycznych.

Na pierwszy rzut oka może się zdawać, że istnieje ścisła zgodność między p. Mołotowem i p. Mackenzie Kingiem. Obaj zdają się odrzucać centralizację wspólnot rosyjskiej i brytyjskiej i być zwolennikami oddzielnych i nieskoordynowanych działalności członków, wchodzących w ich skład. W rzeczywistości jednak zachodzą między nimi wielkie różnice. Właściwy cel propozycji sowieckiej nie jest dotychczas zupełnie jasny. Ale można uznać za rzecz pewną, że marsz. Stalin nie jest zainteresowany w żadnym faktycznym rozdzieleniu jego obecnej centralnej kontroli nad polityką wojskową i zagraniczną na którekolwiek z szesnastu republik sowieckich.

Jest rzeczą ważną przeprowadzenie rozróżnień między formami konstytucyjnymi a rzeczywistością polityczną, tkwiącą poza nimi. Prawdopodobnie istnieje wiele przyczyn dla zmian konstytucji, przeprowadzonych obecnie. Jedną, choć prawdopodobnie drugorzędną, jest wysunięcie żądań dla przedstawicielstwa w przyszłych międzynarodowych organizacjach co najmniej równych przedstawicielstwom Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Inną jest chęć wprowadzenia zmian administracyjnych w wykonywaniu polityki zagranicznej. Innym wreszcie celem jest prawdopodobnie oczyszczenie drogi dla zgody reszty świata na wcielenie do ZSRR terytoriów, które nie należały do niego w r. 1938. Ale bez względu na to, jakie są te przyczyny, jest rzeczą jak najbardziej nieprawdopodobną, aby była wśród nich chęć pozwolenia szesnastu republikom działania sprzecznego z życzeniami Kremlu w jakiegokolwiek ważnej sprawie. Zagraniczna polityka będzie się decydowała na jednym miejscu dla całego Związku. A właśnie w sprawach wielkiej polityki p. Mackenzie King żąda zupełnej swobody działania. Istotą sprawy kanadyjskiej jest, iż o przystąpieniu Kanady do wojny może decydować wyłącznie parlament kanadyjski i że Kanada nie mogłaby wskutek tego prowadzić wspólnej polityki zagranicznej z innymi członkami Wspólnoty Narodów, która mogłaby prowadzić do wojny. Pod powierzchnią pozornych zbieżności poglądów na konstytucyjne formy między p. Mackenzie Kingiem a p. Mołotowem istnieje rzeczywista różnica celów”.

Droga do Białego Domu

W numerze z dn. 17 lutego b. r. londyńskiego tygodnika „The Listener” pisze na temat przyszłych wyborów amerykańskich David Wills:

„Ostatni tydzień wielokrotnie przypominał nam, że rok obecny jest dla Ameryki rokiem politycznym. Każdy wie, oczywiście, że w listopadzie wybieramy prezydenta, ale musimy także wybrać jedną trzecią przedstawicieli Senatu i całą Izbę Reprezentantów w Waszyngtonie; w każdym zaś z czterdziestu osmiu Stanów musimy wybrać część ciał prawodawczych, a także i niektórych gubernatorów stanów; poza tym są także wybory lokalnych urzędników w trzech tysiącach okręgów oraz wybory sędziów. Tak więc w nadchodzącym listopadzie zdolność do sprawowania funkcji publicznych wielu tysięcy Amerykanów zostanie wypróbowana w głosowaniu. Rzecz prosta, najważniejszym z tych urzędów jest urząd prezydenta...”

Kandydaci republikańscy rozpoczęli już objazd kraju. Najczynniejszym i najenergiczniejszym spośród nich jest Wendell Willkie, który stara się wejść w kontakt z jak największą ilością lokalnych polityków, tak aby mógł na czerwcowej, ogólnopartyjnej konwencji partyjnej wysunąć się ponad innych kandydatów. „Willkie wybrał ciężką drogę do wyborów. Np. powiedział on publicznie, że nowe podatki będą blisko dwa razy wyższe od tych, jakich prezydent ostatnio się domagał, i koło osmiu razy wyższe od tych, na jakie zgodził się członkowie jego partii, poparci przez niektórych zwolenników prez. Roosevelta w Kongresie”.

Gubernator Bricker również rozpoczął już

kampanię wyborczą. Wypowiedział się on przeciwko izolacjonizmowi. Bricker powiedział: „Każdy, kto mówi wam, że izolacjonizm będzie jakimś rozwiązaniem, rzuca tylko zasłonę dymną na swoje własne egoistyczne interesy”. Określił on bliżej swoje stanowisko: „Ameryka — powiedział on — musi współpracować z innymi państwami dla stworzenia pewnego rodzaju organizacji dla zachowania pokoju i popierania międzynarodowego handlu”. Ale dodał: „Chcę, aby kraj mój pozostał wolny. Nie chcę żadnego nadpaństwa, które miałoby kierować biegiem losu Ameryki”. Kiedy go zapytano, jak Ameryka mogłaby równocześnie współpracować i pozostać wolną, gubernator powtórzył tylko swoje poprzednie twierdzenie innymi słowami. Zdaniem autora artykułu sprzeczność jest tu tylko pozorna. Współpracę międzynarodową wyobraża sobie Bricker jako opartą na tych zasadach, na jakich funkcjonuje obecnie współpraca wojenna anglo-amerykańska.

Rzecz ciekawa, że kiedy się Brickera zapytano, czy nie uważa za rzecz pożądaną stworzenie na czas wojny rządu koalicyjnego, oświadczył się przeciwko takiemu rządowi. Zdaniem jego, jeśli demokracja amerykańska ma przeżyć wojnę, utrzymanie systemu dwupartyjnego jest rzeczą podstawowego znaczenia. Dla zrozumienia tego oświadczenia trzeba pamiętać, że republikanie i demokraci nie są partiami politycznymi w europejskim znaczeniu tego słowa. Tak np. partia demokratyczna skupiła w sobie zwolenników reform społecznych, przeprowadzanych w interesie klas upośledzonych, rekrutujących się z wielkich miast, oraz konserwatywnych posiadaczy wielkiej własności ziemskiej i przemysłowej z Południa.

Panując powszechne przekonanie, że prez. Roosevelt zgodzi się na przyjęcie kandydatury, ponieważ jest on jedynym człowiekiem, na którego zgodzą się oba te elementy partii demokratycznej.

Czy koniec brytyjskiej koalicji rządowej?

Na ten temat pisze londyński „The Observer” w numerze z dn. 16 stycznia b. r.:

„Obecna sesja parlamentu może być ostatnią w tej wojnie z Niemcami. Kiedy Parlament się zbierze, fakt ten będzie dominował.

Wraz ze Sprzymierzeńcami koalicja, t. j. zgrubszą biorąc, p. Churchill oświadczył, niewątpliwie wygrywa wojnę. Ale w ciągu ostatniego roku wzrosły się wątpliwości i niezadowolenie, jeśli idzie o zdolność koalicji, t. j. znowu p. Churchilla i jego kolegów, sprostać pokojowi. Obserwatorzy z prowincji prawdopodobnie lepiej niż londyńczycy zdają sobie sprawę z tego wyraźnego podziału, jaki zwykli członkowie przeprowadza między p. Churchilllem, przywódcą wojennym, a p. Churchilllem, politykiem.”

Teoria, iż wyborcy nie mogą równocześnie popierać rządowej polityki wojennej i być w opozycji do rządu, jest prawdopodobna, ale sprzeczna z faktami. P. Churchill zawsze był przenikliwy. W zeszłym roku w mig zorientował się, czego ludzie chcą: wyżywienie, praca, mieszkania. Wstawił odpowiednie kwestie w dwa przemówienia. Naznaczył lorda Wooltona. Ale chociaż zrobiono wiele pracy przygotowawczej, jak dotychczas nie ma odpowiedzi.

Jest jeszcze drugi ważny fakt parlamentarnego Nowego Roku. Nie zapowiedziano żadnej polityki na pierwszy okres pokoju, pozostają tylko sprawy bieżące. Martwi to wielu członków parlamentu z licznych partii. Czy koalicja, oparta na kompromisie, koniecznie musi być hamulcem w sprawach wewnętrznych?...

Zgrubszą biorąc, istnieje dwie szkoły myśli wśród tych członków parlamentu z różnych partii, którzy kłopotą się o więcej decyzji i o lepsze decyzje: takich, którzy myślą, że najlepszą rzeczą jest nacisk na Ionię koalicji, i takich, którzy nie mają żadnej nadziei, iż koalicja mogłaby stworzyć coś więcej niż bezbarwny kompromis.

Linia podziału tych dwóch szkół myśli, jest linią podziału partyjnego Ci, którzy chcą działać jako cnotliwa piąta kolumna w Ionię Koalicji, są niemal że wyłącznie torysami... Dążą oni do pałacowej rewolucji. Ci, którzy chcieliby spać w spokoju i odejść, to labourzyści. Większość liberałów również zdecydowana jest zostać się lub upaść bez obecnej pomocy, dzięki własnemu, energicznemu i fachowemu programowi”.

W tej sytuacji szczególnie delikatną staje się pozycja ministrów koalicyjnego rządu — labourzystów: „Konferencja partyjna prawdopodobnie pozbawi ministrów labourzystów ich wysokich stanowisk, gdy tylko walki w Europie zostaną przerwane, chociaż niektórzy z nich mogą, prywatnie, zostać w gabinecie, — do czego p. Churchill nieraz już robił aluzję. Nie jest też rzeczą niemożliwą, iż niektórzy labourzyści, członkowie parlamentu mogą wcześniej przejść do opozycji”.

Mimo te nastroje autor jest przekonany, że przed końcem działań wojennych w Europie koalicja się nie rozleci, a prawdopodobnie i później na okres trwania działań wojennych na Pacyfiku, funkcjonować będzie Rada Wojenna, w której skład wejdą przedstawiciele wszystkich partii.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA

„W DRODZE”

ukazały się następujące książki

Bobrzyński Michał	HISTORIA POLSKI	LP. 0.350
	tom pierwszy,	
	tom drugi w druku	
Broncel Zdzisław	ŁASKA NOCY	0.200
Broniewski Władysław	BAGNET NA BRON	0.150
	WIERŚNET ZEBRANE	0.200
Czechowicz Jadwiga	POZWÓL MI WRÓCIĆ	0.300
Kurdybacha Łukasz	NARÓD W WALCE	0.300
	antologia	
Obertyńska Beata	FAUSTYNA	0.150
Pruszyński Ksawery	WALCZYMY	0.200
Sienkiewicz Henryk	OGNIEM I MIECZEM	4 t. 0.500
	POTOP	6 t. 0.900
	PAN WOŁODYJOWSKI	3 t. 0.450
	KRZYŻACY	t. I 0.150
	dalsze tomy w druku	
Sowiński Tadeusz	ZWROTNIK WILKOŁAKA	0.125
Żeroński Stefan	SZYFOWE PRACE	0.200
	SULKOWSKI	0.200
	WIELKA BRYTANIA	0.300
Zbiorowo	POEZJA KARPACKA	0.200
	z przedmową Jana Bielawicza	

Powojenna demokracja Przegląd polityczny

„Londyński tygodnik „The Economist” drukuje w numerze z dn. 8 stycznia artykuł wstępny, poświęcony zagadnieniu powojennej demokracji w Europie: „Post-war Democracy”. Ze względu na programowy charakter artykułu przedrukujemy go tu w całości:

Na innym miejscu pokazujemy te trudności, z jakimi zetknęli się przedstawiciele francuscy w Algierze w swoich staraniach o przywrócenie we Francji rządów demokratycznych. Zadanie, przed jakim stoi Francuskie Zgromadzenie Doradcze, wymaga dwóch rozwiązań: przywrócenia normalnego życia politycznego na terytoriach, zajętych obecnie przez wroga; zorganizowania w tych krajach rządów ogółu, któreby były równocześnie stałe i pracowały wydawnie. Potrzeba rządów ogółu („popular government”) po latach arbitralnej obcej władzy będzie bardzo wielka: zorganizowanie ich i utrzymanie nie będzie wcale rzeczą łatwą na tle zniszczeń i bezprawia, jakie opór najeźdźcy nieuchronnie przyniósł ze sobą. Potrzeba stałego rządu będzie palącą, a — we współczesnych ekonomicznych i strategicznych warunkach — zdolność stworzenia rządu, któryby pracował wydawnie, będzie miała znaczenie decydujące.

Kraje Europy, nawet te, które dawniej zwaly się demokracjami, nie mogą po prostu wrócić do swoich przedwojennych reżimów. W niektórych krajach nie było żadnej demokracji. W innych demokracja nie funkcjonowała: nie miała ani stabilizacji, ani wydajności. Propagandyści Osi i inni publicyści wyciągnęli z tych przykładów wniosek o zmierzchu demokracji. Rządy demokratyczne — tłumaczą oni — zostały wprowadzone po wojnie jako świadoma próba zastosowania zasad brytyjskiego parlamentaryzmu w całej Europie, i próba ta nie powiodła się. Nie jest to prawda. Podczas kiedy wypracowane konstytucje parlamentarne zostały wprowadzone po r. 1918 do wielu krajów europejskich, włączając w to Niemcy, rządy parlamentarne, takie jakie znamy w naszym kraju, nigdzie nie zostały wprowadzone. To co było próbą naśladowania systemu brytyjskiego, oparte było na błędzie: kopiowano czasem prawo, nigdy praktykę.

Mimo że poziom życia politycznego często bardzo obniżał się u nas przed wojną, mieliśmy nawet w najgorszych czasach rządy bardziej ludowe, bardziej trwałe i bardziej wydawnie pracujące niż większość innych demokracji. P. Churchill nie jest żadnym kaprysem, ale reprezentacyjnym brytyjskim mężem stanu, który wyrósł w Izbie Gmin i w gabinecie ministerialnym. Ponieważ powojenna Europa potrzebuje rządów ogółu, stałych i wydawnie pracujących, oraz kierownictwa, któreby było równocześnie silne i demokratyczne, jest rzeczą ważną zarówno dla Europy, jak i dla nas, abyśmy mieli wzrok skierowany na rzeczywiste brytyjskie systemy parlamentarne, abyśmy orientowali się, jak jego najlepsze wartości mogą być zachowane, oraz w jakiej mierze mogą one odpowiadać europejskim potrzebom. Brytyjski system rządów przetrzymał próbę ognia.

Jakie są charakterystyczne cechy systemu brytyjskiego, których brakowało w latach międzywojennych? Można je pokrótce ująć, jak następuje: Parlament nie przeszkadza gabinetom brytyjskim w rządzeniu. To, co rządy te postanawiają zrobić, normalnie spotyka się z aprobatą zarówno parlamentu, jak i narodu. Na wyborach wybiera się rząd z parlamentem, który ma z nim współpracować, i chociaż w teorii parlament jest suwerenny i może stać się suwerennym naprawdę w momencie kryzysu politycznego, prawo władzy wykonawczej wybierania i stosowania takiej czy innej polityki, z chwilą kiedy raz naród oddarzył

ją mandatem, jest uznawane. Nie jest rzeczą możliwą, aby parlament mógł bezkarnie zmieniać stałe gabinety. Gabinet brytyjski może uprawiać jednolitą i stałą politykę dostatecznie długo i w sposób dostatecznie śmiały na to, aby sprawy zostały załatwione. Parlament zachowuje i musi zachować prawo usunięcia gabinetu wtedy, kiedy wydaje się, iż wola ogółu się zmieniła, ale dopóki członkowie Izby Gmin nie zdecydują się pójść na tę ostateczność, która rzuci ich wraz z gabinetem do kotła wyborczego, jego codzienna władza nad rządem ogranicza się do krytyki, pytań, zażaleń i sugestii. Rządy mogą być zmieniane, ale tylko w obliczu wyjątkowo ważnych decyzji, a nie przy każdej zmianie nastrojów opinii publicznej. Pierwszą funkcją parlamentu jest ta jego prerogatywa, którą poprzednicy jego zdobyli w XV w.: prawo domaganie się naprawienia krzywd. Izba Gmin jest megafonem dla wyrażania poglądów i opinii ogółu. I tylko wyjątkowo hałas ten zmusza Izbę Gmin do wystąpienia przeciwko gabinetowi i do obalenia go.

W krajach, jak powiedzmy... przedwojenna Francja rządy parlamentarne wcale nie funkcjonowały w ten sposób. Gabinet powstawał i padał zależnie od przesunięć w kombinacjach licznych partii niższej Izby i senatu, bez żadnego odwołania się — poza ustalonymi terminami — do wyborów. Dla żadnego gabinetu nie było rzeczą możliwą znalezienie dostatecznego poparcia, dostatecznie trwałego na to, aby przeprowadzić program reform czy obrony, jakiego Francja potrzebowała. Gabinet nie był tworem wyborów, ale tworem parlamentu, tworem i zmianami z osłupiającą częstotliwością, aż wreszcie nie miały wcale, albo też miały bardzo mało związku z ludźmi i hasłami, w imię których głosowano na poprzednich wyborach. Rządy są bezzilne, a parlamenty — nieodpowiedzialne.

Ale zachowana została fasada; nie brakło żadnej z właściwości rządów parlamentarnych: zarówno senat, jak i niższa izba, były wybierane, premier i gabinet byli odpowiedzialni przed przedstawicielami, wybranymi przez naród, prawa były wprowadzane jako akty parlamentu, wykonywali je ministrowie pod kontrolą parlamentu. Wszystkie te właściwości: zgromadzenia reprezentantów, odpowiedzialni ministrowie, gabinet i prawodawstwo parlamentarne — są częścią składową brytyjskiego prawa konstytucyjnego i można je było znaleźć w innych, młodszych demokracjach Europy. Ale z wyjątkiem takich krajów, jak Szwecja, która miała własną zdrową tradycję, konsekwencje wszędzie były takie same — nie było jednolitej polityki wewnętrznej czy zagranicznej, przyjętej przez ogół i zdrowej technicznie; nie przedsięwzięto należytych kroków dla obrony lub rozwoju gospodarczego.

W znacznej mierze różnice między rezultatami, osiągniętymi przez system brytyjski, a rezultatami innych systemów rządów demokratycznych — to różnice między istotą a pozorem metody parlamentarnej. Polityka brytyjska także ponosiła w okresie międzywojennym wielkie niepowodzenia w dziedzinie ekonomii, obrony i dyplomacji; były to jednak niepowodzenia nie brytyjskiego systemu rządów parlamentarnych, ale niewłaściwego jego wyzyskania, i nie przyniosły one ze sobą klęski. Gabinet pracował często w sposób nieskuteczny, ale były one zawsze stałe i zazwyczaj popularne. W innych krajach sytuacja była całkiem różna. Zachowały one konstytucyjną teorię, iż parlament jest suwerennym, i przeoczały polityczną praktykę, która w Wielkiej Brytanii we współczesnych warunkach rządów dawała suwerenność władzy wykonawczej. Nie dostrzegały one, iż w razie konieczności współczesne rządy muszą mieć władzę prowadzącą. Nie przyjęły one zasady, że rządy albo muszą być popierane, albo też los ich musi zależeć od opinii wyborcy przy urnie. Krótko mówiąc, brakło im właśnie tego, co umożliwiło stałą pracę rządów parlamentarnych u nas: brytyjskie rządy parlamentarne pracowały najgorzej w okresie międzywojennym, kiedy zapomniały o tych praktycznych konwencjach, jakie legły u ich podstawy: kiedy program i polityka były zmieniane bez względu na wyborcę; kiedy przez tworzenie rządów jednolitości narodowej wszystkie realne kwestie polityczne zostawały albo zamazane, albo nierozstrzygnięte; kiedy opozycja, niezadowolona do zaproponowania siebie jako alternatywnego rządu z alternatywną polityką, zadowalała się rolą partyzanta.

Być może, że z powodu różnic charakteru narodowego oraz innych sytuacji społecznych i gospodarczych nie jest możliwy eksport nawet zmodyfikowanej wersji praktyki brytyjskiej. Być może, że dla niektórych krajów system sowiecki, z władzą sztywnie scentralizowaną, będącą ponad krytyką i kontrolą, ujętą w ramy wielkiej ilości ciał, pochodzących z wyborów, ale bezzilnych, będzie odpowiedniejszy. Być może, że w innych wypadkach wzór amerykański władzy wykonawczej, pochodzącej z wyboru i pojętej jako stała przeciwwaga pochodzącej z wyboru władzy prawodawczej, będzie właściwszy. Ale system sowiecki nie jest rządem ogółu w sensie brytyjskim, ponieważ nie pozostawia on miejsca na wolność obywatelską, zarówno jak na wybory i poparcie parlamentu. A w ostatnich czasach system amerykański z trudem wytwarzał ten silny i skutecznie pracujący rząd, którego europejskie demokracje potrzebują i którego im brakło; Kongres również jest nieodpowiedzialny; administracja nie jest zależna od jego poparcia; żadna z tych dwóch władz nie może zmusić drugiej do odwołania się do opinii publicznej. Prima facie system brytyjski ma spójne zalety dla rozwiązania trudności powojennej Europy.

Po tej wojnie narody europejskie będą szukały jakiejś alternatywy rządów autorytarywnych. Praktyka brytyjska daje możliwości trwałych i konsekwentnych rządów, mających za sobą poparcie ogółu i wystawionych na krytykę ogółu; wolność mowy, opinii i prasy, wolność wyborów oraz parlamentarnej krytyki i śledztwa, a także równość obywateli wobec prawa są nieodzownymi warunkami; nie mniej jest rzeczą nieodzowną istnienie tylko niewielu partii politycznych, reprezentujących różne, ale obszerne odłamy opinii i interesów, z których każda mogłaby dzięki swoim ludziom i polityce utworzyć — z wyboru większości — rząd. Jeśli wszystkie te inne kraje będą mogły na swój sposób połączyć podobną praktykę z tymi zasadniczymi warunkami, wtedy będzie można powiedzieć po raz pierwszy, że rządy parlamentarne, takie jakie my znamy, są stosowane także i zagranicą.

W obecnych warunkach potrzeba wysunięcia przez państwa anglosaskie konkretnego i wyraźnego planu powojennej odbudowy świata, staje się coraz bardziej palącą. Plan ten może przysiąc tylko z obozu państw anglosaskich. Istnienie takiego planu przyniosłoby dwie olbrzymie doniosłości korzyści: po pierwsze potrafiłoby jak najwydatniej zmobilizować dla Sprzymierzonych wszystkie prądy wolnościowe w okupowanej Europie, po drugie zaś potrafił on skanalizować te ruchy rewolucyjne, które inaczej, jeśli wybuchną spontanicznie i w sposób niezorganizowany, gotowe są pogrążyć kontynent europejski w zabójczym chaosie, pogłębić i tak już olbrzymie straty wojenne i sprawić, że ostatecznym zwycięzcą będzie — tertius gaudens.

Rolę takiej busoli ideowej miała spełniać Karta Atlantycka. Ale na to, aby mogła ją wypełnić, potrzeba spełnienia dwóch warunków: trzeba, aby świat uwierzył, że postanowienia jej na prawdę będą respektowane, i trzeba, aby postanowienia jej rozwinięte zostały w bardziej konkretny program politycznej odbudowy świata. Taka, jaka jest, jest zaledwie ogólnikowa. Kompas jest cennym narzędziem, ale bardzo cennym przyrządem, ale, aby można go było w pełni wyzyskać, trzeba jeszcze wiedzieć, do jakiego portu ma się przybić.

Po tamtej wojnie taką właśnie rolę odegrało sławnych 14 punktów Wilsona. Zapewne, nowy porządek, na ich fundamentach zbudowany, okazał się nietrwałym i nie zapobiegł drugiej wojnie światowej. Wina tkwi tu jednak nie tyle w samych Czternastu Punktach, ile w całym społeciu przyczyn, których tutaj nie czas analizować. Idzie w tej chwili o co innego: co Czternaste Punkty były programem dostatecznie konkretnym na to, aby stanowić wytyczne układu politycznego, oraz odpowiadały głęboko odczuwanemu poczuciu sprawiedliwości i słuszności, stał się dobrym organizatorem siły ideowej nowej Europy. Wymownym dowodem wdzięczności, odczuwanej za to do prez. Wilsona, były place i ulice jego imienia we wszystkich stolicach nowopowstałych państw europejskich. Okupacja niemiecka przemianowała wszystkie te ulice na nazwy bohaterów brunatnej Walhalli. Z czym nazwiskiem tabliczki przybijają się będzie na nich w najbliższej przyszłości, skoro zwycięstwo Sprzymierzonych zmiecie z nich te brunatne liszaje?

Zdolność sformułowania takiego programu odbudowy świata będzie sprawdzianem zdolności Sprzymierzonych do ideowego opanowania sytuacji w nowej, powojennej Europie. Coraz usilniej powtarzają się pogłoski o mającym nastąpić w bliskiej przyszłości spotkaniu Churchilla z Rooseveltem, poświęconym tym właśnie sprawom. Jeśli do spotkania takiego dojdzie, będziemy mogli wyników oczekiwać w wielkich nadziejach, ale i z wielkim niepokojem. Idzie tu bowiem nie o mniej i nie o więcej, ale o przyszłość całego naszego kontynentu, tak straszliwie doświadczonego ostatnią wojną.

Niepokój ten są zaś usprawiedliwione o tyle, że w samym obozie Sprzymierzonych pojawiają się obecnie niepokojące oznaki zmęczenia ideowego. Przykładem tego była mowa gen. Smutsa, proponująca złożenie troski o ład i pokój w przyszłym świecie w ręce czterech mocarstw. Projekt taki jest objawem nie tylko pewnej kapitulacji ideowej; jego realizm stoi również pod znakiem zapytania. Można o realizmie tym mówić tylko wtedy, gdyby istniały gwarancje harmonijnej powojennej współpracy na dalszą metę wszystkich czterech zainteresowanych mocarstw. A tymczasem nie upłynęło jeszcze cztery miesiące od czasu zjazdu teherańskiego, kiedy Cordell Hull mógł przedstawić republikańskiemu członkowi Kongresu długą listę problemów zasadniczego politycznego znaczenia, w których między głównymi mocarstwami Sprzymierzonymi istnieją różnice poglądów.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji Rosja mogła zaskoczyć Sprzymierzonych uznaniem rządu marsz. Badoglio. Jak wiadomo, rząd Badoglio jest bardzo niepopularny we włoskich partiach lewicowych i centrum.

Uznanie rządu Badoglio należy wiązać z rokowaniem fińsko-rosyjskimi o zawieszenie broni. Zawarcie pokoju z Finlandią miało dla Rosji tak ogromne znaczenie, że próba doprowadzenia do niego nie potrzebowała żadnego postronnego wyjaśnienia. Oczywiście dla każdego są korzyści zarówno militarne, jak i w polityce zagranicznej, jakie Rosja z takiego pokoju mogłaby wyciągnąć. Ale również i ze względów wewnętrzno-politycznych pokój taki byłby dziś dla Rosji czymś niezwykle cennym. Rosjanom, żyjącym w niezwykłym napięciu zarówno walki, jak i wysiłku gospodarczego, potrzeba gwałtownie jakiegoś wielkiego sukcesu, któryby można było wyzyskać propagandowo jako gwarancję szybkiego, zwycięskiego zakończenia wojny. A ponieważ w Finlandii mogły istnieć uzasadnione obawy, że zawieszenie broni Rosjanie wyzyskają dla wprowadzenia Finlandii na drogę rewolucyjnych zmian, uznanie w trakcie rokowań rządu marsz. Badoglio miało służyć jako silny gwarancja dla marsz. Mannerheima, że ani konserwatywnym społeczeństwu, ani też udział w wojnie po stronie państw Osi wcale jeszcze nie wykluczają ewentualnych przyszłych dobrych stosunków politycznych z marsz. Stalinem. Dzisiaj, gdy teren wojny zbliża się do dorzecza Dunaju, gdy Rosjanie są już jedną nogą na Bałkanach i gdy w związku z tym pozycja Turcji — zawsze kluczowa — nabiera jeszcze większej doniosłości, Rosjanom musi szczególnie zależeć na wzbudzeniu do siebie zaufania u swoich bliźszych i dalszych sąsiadów: jest ono bowiem szansą zdublowania poważnych osiągnięć militarnych zwycięstwami politycznymi.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Niemcy ponieśli na froncie ukraińskim jedną z największych klęsk tej wojny: gwałtowne postępy rosyjskie poprzez Boh i Dniestr z jednej strony, z drugiej zaś wzdłuż granicy polsko-sowieckiej w kierunku Rumunii, nie tylko — ze oddalą w ręce Rosjan rozległe i ważne strategicznie tereny, ale także i znacznie pogorszyły ich sytuację polityczną na Bałkanach. Radio niemieckie jest co prawda bardzo skąpe w komentarzach na temat sytuacji na południowym odcinku frontu, wschodniego, ale przynajmniej, że sytuacja jest tam poważna. Nie może zresztą nie przynajmniej: trudno karmić społeczeństwo w dalszym ciągu uspokajającymi bajkami o „planowym odwróceniu”. Każda

naiwność ma swoje granice. Zastąpienie zresztą v. Mannsteina przez v. Kleista w momencie największego napięcia ofensywy sowieckiej także ma swoją wymowę.

Najlepszą miarą klęski wojskowej Niemiec dają jednak reperkusje, jakie przyniosła ona na Węgrzech. Tak samo, jak lądowanie Sprzymierzonych w Afryce Północnej kazalo Niemcom okupować całą Francję, tak teraz na zbliżanie się Rosjan do nizin węgierskiej, poprzez którą prowadzą wszystkie linie komunikacyjne, łączące ich z państwami bałkańskimi, odpowiedź okupacji Węgier. Okupację tę przeprowadzili po swojemu: brutalnie, bezwzględnie i sprawnie. Wydaje się, że sytuację na Węgrzech zupełnie opanowali. Mogli to zresztą zrobić tym łatwiej, że węgierski korpus oficerski był w znacznej mierze szlifierowany.

Okupacja Węgier skończyła ostatecznie z fikcją niemieckiego „Nowego Ładu” państw europejskich, dobrowolnie współpracujących z Niemcami na podstawie nowego, zorganizowanego przez nich porządku: Francja, Dania, Węgry i Bułgaria znaczą etapy likwidowania się tej fikcji. Cała Europa „Nowego Ładu” to dziś po prostu państwa, będące pod wojskową okupacją niemiecką.

Zapewne, Niemcom udało się obecnie wycisnąć z Węgrów kilkanaście czy nawet więcej dywizji wojsk, ale równocześnie nowa sytuacja na Węgrzech i w Bułgarii oznacza dalsze pomnożenie garnizonów okupacyjnych.

Trudno zresztą przyjąć, aby Węgry były w tej chwili bezpośrednio zagrożone inwazją sowiecką, mimo że wojska sowieckie już podchodzą pod ich granice. Aby inwazji takiej dokonać, Rosjanie musieliby sforsować Karpaty. Nie jest to zadanie łatwe. Wojska rosyjskie dotychczas operowały wyłącznie na terenach równinnych. W ubiegłej wojnie światowej Rosjanie próbowali coby sforsować Karpaty, ale opanowali je tylko na krótko, a opłacili to próbą milionem zabitych żołnierzy. Dlatego należy przypuszczać, że szybkie posuwanie się Rosjan na południowym odcinku frontu w niedalekiej przyszłości się skończy. Dla nas oznacza to tyle, co zapowiedź, że ziemie polskie staną się terenem zasadniczej rozprawy niemiecko-sowieckiej. Bardzo to tragiczna dla nas zapowiedź.

W groźnych powikłaniach bałkańskich znalazło się miejsce i na sielankowo-dworskim epizod: pod auspicjami brytyjskim doszedł do skutku ślub króla jugosłowiańskiego z grecką księżniczką. Ma on swoją wymowę polityczną. Propaganda sowiecka szła na Jugosławię pod hasłem wspólnoty słowiańskiej, małżeństwo króla Piotra wolno interpretować jako próbę nawrotu do koncepcji ścisłej współpracy powojennej grecko-jugosłowiańskiej, o której spore się mówiło przed dwoma laty. Równocześnie słyszymy, iż Anglicy starają się o doprowadzenie do kompromisu między królem a Tito. Tito — jak powszechnie wiadomo — wystąpił jako człowiek Rosji. Ale obecnie od dłuższego czasu współpracuje z nim poważna brytyjska misja wojskowa.

Walki w rejonie Cassino wywołują rozliczne komentarze, zwłaszcza w prasie amerykańskiej. Traktuje się je jako generalną repetycję desantu Sprzymierzonych na kontynent europejski. „Mamy tak olbrzymią przewagę powietrzną, że sama ta przewaga musi nam zapewnić zwycięstwo” — starają się perswadować Niemcom Sprzymierzonym, argumentując niezwykle w swym skoncentrowaniu bombardowaniem: 2500 ton bomb na niewielkie Cassino. Nieprawda, replika Niemcy, nawet przy tak wielkiej przewadze lotniczej, ostateczna decyzja zależy od walk piechoty, i trzymają się w Cassino. Trzeba przynajmniej, że argumenty ich wyglądają jak dotychczas raczej przykuwające. Coprawda, sprzyja im tam teren, który jest górzysty. Poza tym mści się zbombardowany klasztor: jego podziemne tunele miały ocalić w krytycznym momencie Niemców przed skutkami bombardowań.

A tymczasem właśnie w obecnym momencie zwycięstwa wojskowe — tu czy na innym froncie — byłoby dla Sprzymierzonych szczególnie potrzebne. One jedne bowiem potrafią natchnąć ich politykę duchem inicjatywy, przedsiębiorczości i wiary we własne siły, jakiego teraz, w miarę zbliżania się końca wojny, coraz bardziej będzie im potrzebna, dla uporania się z tymi gigantycznymi politycznymi zadaniami, jakie przed nimi stoja.

Ostatnia mowa radiowa premiera Churchilla z dn. 25 marca przyniosła tu raczej rozczarowanie. Z uzasadnionym optymizmem, w słowach mocnych i świeżych, których dobór stanowi tajemnicę uroku jego mów, premier brytyjski mówił o osiągniętych postępach wojennych Sprzymierzonych, osiągniętych w ciągu ubiegłego roku. Zapowiadał szybsze niż się pierwotnie przypuszczało pokonanie Japonii. Otwarcie przyznał się do ostatnich niepowodzeń we Włoszech. Dużo miejsca poświęcił sprawom powojennej rekonstrukcji Wielkiej Brytanii, jakby odpowiedzieć chciał w ten sposób na słowa krytyki, z którymi często można było się spotkać ostatnio na łamach lewicowej prasy londyńskiej, iż jest co prawda wielkim przywódcą politycznym czasów wojny, ale nie docenia wagi zagadnień rekonstrukcji powojennej i powojennej planowej gospodarki. Zupełnym milczeniem pominął sprawy polityki zagranicznej, które muszą przede wszystkim pochłaniać najpilniej jego uwagę.

ww.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH

NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelichowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieleżne trykoty, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL - A V I V, ul. ALLENBY 83

Wydawca: Ignacy Pokrywka
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

SZKOLNA BIBLIOTEKA NA WSCHOZIE pod redakcją Dra L. Kurdybachy

Dotychczas ukazały się:

- Tom
1. ALEKSANDER FREDRO :
Zemsta,
oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 142
 2. JAN KOCHANOWSKI :
Treny,
oprac. Wiktor Weintraub. Str. 41
 3. JULIAN NIEMCEWICZ :
Powrót posła,
oprac. Stanisław Kot. Str. 112
 4. JAN KOCHANOWSKI :
Odprowa posłów greckich,
oprac. Wiktor Weintraub. Str. 43
 5. ZOFIA KOSSAK :
Niemany kraj,
(w wyborze). Str. 221
 6. STEFAN ŻEROMSKI :
Wierna rzeka. Str. 130
 7. HENRYK SIENKIEWICZ :
W pustyni i w puszczy. Str. 326
 8. ELIZA ORZESKOWA :
Nad Niemnem. Str. 479
 9. MARIA RODZIEWICZOWNA :
Lato leśnych ludzi. Str. 177
 10. ADAM MICKIEWICZ :
Księgi Narodu i Pielgrzymstwa
Polskiego,
oprac. Stanisław Pigoń. Str. 62
 11. MARIA KONOPNICKA :
O krasnoludkach i sierotce Marysi,
Str. 195
 12. MELCHIOR WANKOWICZ :
Bracia dalecy a bliscy,
(wybór z książki „Na tropach Smętka”) Str. 123
 13. ADAM MICKIEWICZ :
Pan Tadeusz,
oprac. Manfred Kridl. Str. XVI i 324
 14. ALEKSANDER FREDRO :
Śluby panieńskie,
oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 115
 15. STANISŁAW WYSPIAŃSKI :
Wesele. Str. 182
 16. WLADYSLAW ORKAN :
W roztokach,
wstęp St. Pigoń. Str. 302
 17. JULIUSZ SŁOWACKI :
Balladyna,
oprac. Juliusz Kleiner. Str. 248
 23. ALOJZY FELIŃSKI :
Barbara Radziwiłłówna. Str. 128.